Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce

skreślił

C. J. Kochanowski.

(Dokończenie.)

Jak w sokolnictwie tak również w innych gałęziach myśliwstwa w znaczeniu dzisiejszem, stanęła Francya na czele, gdzie począwszy od Karolingów aż do Ludwika ostatniego, królowie chętnie zajmowali się łowami. Pod rządami Ludwika św. pojawiło się pierwsze dzieło myśliwskie: *Dict. de la chasse du cerf.* Ludwik XI. ogłasza polowanie jako wyłączną własność królewską, zabrania ubijać zwierzynę pod karą śmierci, a tylko szlachta nadworna miała prawo polować. On podniósł wysoko sokolnictwo, starał się o dobre sokoły, a w celu ich pozyskania dopuszczał się nawet rabunku. Karol IX. napisał: *La chasse royale*, a Ludwik XII. posiadał tak liczne psiarnie, że obawiając się o własne bezpieczeństwo, wyrzekł raz: „Obawiam się, by mnie tak jak Anakteona psy nie zjadły“. Najwyższy szczyt myśliwstwa we Francyi był za czasów Franciszka I. „*père de la véneric*“ i Ludwika XIV. Marszałek Fleuranges tak się odzywa o myśliwstwie Franciszka I.: „Sokolarnia królewska stoi pod wielkim sokolnikiem Réné de Cossé, którego pensya wynosi 4000 zł., ma on pod sobą 50 szlachty o 500 do 600 liwrach i 50 sokolniczych o 200 liwrach pensyi. Sokolarnia obejmuje 300 sokołów. Polować może gdzie mu się podoba, handlarze ptakami nie mogą żadnego sokoła sprzedać bez jego zezwolenia“. Franciszek I. wciągnął kobiety do udziału w łowach, jego „*petite bande des dames*“ towarzyszyła mu w wyprawach łowieckich. Kto podczas polowania *par force* pierwszy jelenia dosięgnął, ten nabywał prawa ofiarowania królowi pierwszych badylów, drugich którejkolwiek z dam i pocałować ją przytem. Za Ludwika XIV. myśliwstwo nie ustępowało czasom Franciszka I., był on jednak ostatni z królów, który łowiectwem na wielką skalę się zajmował.

W Austryi przypada właściwy rozwój sokolnictwa na czasy panowania Józefa I. i Karola VI. Józef I. ustanowił urząd nadsokolnika państwa, i nadał go hr. Georg André von Volkhra, który to urząd w wielkiem był poszanowaniu. Z szematyzmu r. 1730 dowiadujemy się, że w roku poprzednim ułowiono za pomocą sokołów 340 sztuk zwierzyny, z wyjątkiem 27 zajęcy. Za Maryi Teresy nie było już sokolnictwo tak uprawiane, jak za poprzednich panujących, a przyczyną tego były polityczne zaburzenia, i odtąd zaczyna znikać powoli, mianowicie za Franciszka I. i Józefa II. Ostatnim sokolnikiem według szematyzmów dworskich był Józef hr. Saint-Julien w r. 1793. Odtąd już ustępuje ten urząd z szeregu dostojeństw dworskich. Wspomnienia go-

dnym jest Karol Wilhelm Frydryk, margrabia Brandenburski, panujący w latach 1729—1757, który namiętnym był zwolennikiem sokolnictwa. W ciągu 28 lat swych rządów ułowił za pomocą sokołów 34.429 sztuk zwierzyny, z wyjątkiem 5059 zajęcy.

Do sokolnictwa układano białozory *(falco indicans)* do łowienia żórawi, czapli, dzikich gęsi i łabędzi. Łabędzie utrzymywano w XVI. i XVII. wieku po parkach i robiono sobie nawzajem z nich podarunki. Tak posyła Bona Sforza 3 łabędzie ks. Radziwiłłowej. Układano rarogi *(f. lanarius)* do dzikich kaczek, gołębi i mniejszego ptactwa; sokoły wędrowne *(f. peregrinus)* ze wschodniej Europy do gęsi, kaczek, kurapatw; kobce *(f. subbuteo)* do przepiórek, słowików drozdów; drzemliki *(f. aesalon)* do kszyków, dubeltów jastrzębie gołębiarze *(astur palumbarius)* i krogulce *(astur nisus)*. Wybierano młode gniazdowniki lub też dopiero poczynające latać, przebywające podówczas zwykle po gałęziach, starano się ująć im dzikości nużąc bezsennością na zawieszonych obręczach, z wyuczonymi obchodzono się jak najlepiej, drogo się bowiem płaciły, a często stanowiły majątek. Do obsługi byli w większych sokolarniach umyślni ludzie, zwani sokolnikami *(falconarii)*. Chlubiono się swemi sokolarniami, znamionowały one bowiem zamożność właściciela. Był czas nawet, że sokolnictwu ustępowało inne myśliwstwo, stąd częste wynikały walki między sokolnikami a myśliwymi, z początkiem zimy, gdy polowania *par force* na jelenia ustały, wypędzali sokolnicy z dworu strzelców, zamykali gończe psy, w Maju zaś dokuczali strzelcy sokolnikom. Wraz z rozszerzeniem i ulepszeniem broni palnej upadało sokolnictwo, a dla dzisiejszych czasów jest ono już tylko wspomnieniem dziejowem.

U nas w Polsce stało sokolnictwo na wysokim stopniu rozwoju, może nawet wyżej, jak gdziekolwiek w zachodniej Europie, bo były tak doskonałe sokoły, że o nie ubiegano się i bajeczne sumy płacono za nie. Sokolnictwo tak jak wszędzie, uważano za klejnot szlachectwa, sokoł tak musiał być na ręku szlachcica, jak szabla u boku. Książęta i królowie polscy utrzymywali obok licznych psiarń także bogate sokolarnie. Polskie sokoły słynęły w Europie, a królowie polscy jako niezwykłe dary rozsyłali monarchom sokoły najlepszych przymiotów. Możni panowie mieli również na swych dworach liczne sokoły, były one u Firlejów, Radziwiłłów, Ostrogskich. Jeden z Ostrogskich miał wyborną psiarnię i znany jest jako pisarz w zakresie literatury myśliwskiej. Zygmuntowie, Jan Kazimirz, sascy królowie polują z sokołami. Królowie nasi wysyłali sokoły Ludwikowi XIV. i XV. do Wersalu, które wielkie zrobiły wrażenie, bo odniosły zupełne zwycięstwo nad sokołami królewskimi. Król August otrzymał brykę gobelinów, a Jan Sobieski porcelanę z wizerunkami czynów sokołów polskich we Francyi. (O sokolnictwie i ptakach myśliwskich K. hr. Wodzickiego, do której znakomitej pracy odsyłam żądnych obszerniejszych wiadomości o sokolnictwie).

Sokołów do układania dostawano z Szwecyi, Norwegii, Krymu, z nad Czarnego morza, Irlandyi i Rosyi. Jan III. daje 4 białozory w darze szachowi perskiemu, złowione na Litwie. Władysław był również miłośnikiem tego polowania, a czapla z takich łowów z obrączką na szyi, wypuszczona 18. Maja 1647 zchwytaną została 19. Lipca 1677 (Czacki). Zajmuje się też sokolnictwem kardynał Frydryk, syn Kazimirza Jagiellończyka. Początkowo zastrzegają przywileje z wieków XII., XIII. i XIV. sokolnictwo jedynie dla panującego. Później przeszło to prawo także na możnych i szlachtę. W czasach największego rozwoju sokolnictwa, nie mało cierpieli na tem włościanie, a nawet całe wsie, których było obowiązkiem podczas polowania karmić ptaki myśliwych, wyszukiwać gniazda, znalezione pilnować i wylęgłe młode, skoro tylko gniazdo opuściły, łowić. Największy trud był z sokołami, które jeszcze dobrze latać nie umiały i kryły się śród gałęzi, lub też wyłapywać zbiegłe myśliwym sokoły. Częste też skargi szlachty podnosiły się przeciw królowi, później przeciw możnym panom, a głośniejszemi były te skargi w czasach, gdy nie było ograniczonych praw polowania na cudzym gruncie, jakoteż w pewnych określonych porach roku. Polowania z sokołami urządzano z wielką wystawnością i wielu ceremoniami. Wysokiego rodu damy często polowały z sokołami, a w czasach najwyższego rozwoju sokolnictwa było nawet koniecznością dla szlachetnie urodzonej damy polować z sokołem. Panie, panowie w bogatych strojach, na koniach z złocistym rzędem, z liczną myśliwską drużyną, z psami, sokołami na ręku, wyjeżdżali w pole. Gdy upatrzono ptaka lub zwierzę, mające być przez sokoły ułowione, ściągano zręcznie i szybko kapturek z głowy sokoła i zwracano go w stronę upatrzonego zwierza. Gdy walka sokoła przydłużała się lub przenosiła w inne okolice, dążyła tam cała drużyna, aż zwalczony ptak padał wraz z sokołem, uczepionym silnie, na ziemię. Często jeden sokoł nie mógł sprostać silnemu przeciwnikowi, wtedy wysyłano mu w pomoc drugiego i trzeciego, przyczem należało uważać, aby sokoły były puszczane razem chowane, obce bowiem rzucały się na siebie, nie na zwierzynę.

Kiedy broń palna w myśliwstwie użytą została, nie można z całą dokładnością oznaczyć. Wprowadzenie jej było stopniowe, zwolna wypierała ona dawne przybory. Usunąwszy naprzód łuki, oszczepy, wyrugowała następnie sokoły, zmniejszyła zakres działalności z sieciami i ostatecznie w najnowszych czasach stała się wyłącznym przyborem myśliwskim. Używano jej w czasach bardzo dawnych, wszakże już w czasach Cygańskiego znaną u nas była, ale autor ten wspomina o niej z widocznem lekceważeniem, które wszakże da się łatwo usprawiedliwić specyalnem jego oddaniem się ptasznictwu, więc gdy nie wiedział „inaczej zażyć“, to polecał „rusznice“ używać. Dawno jednak wskazywano środki ostrożności konieczne przy używaniu prochu, przestrzegano mianowicie wzgląd na kierunek wiatru, który zapach prochu z sobą niesie. Dziwną jest zaiste intencya ustawy z r. 1538 wzbraniająca polowania z rusznicami. Może ona warowała ów rodzaj broni dla celów tylko wojennych. Z tego zakazu jednak wnosić można, że broń palna w wieku XVI. była w myśliwstwie używaną, więc stanowczo twierdzić wolno, że w końcu XV. wieku się pojawiła.

W zapasach wojennych jawi się najgroźniejsza broń — działo, użyte po raz pierwszy w wyprawie krzyżackiej przeciw Kiejstutowi. „Pod ich gromowymi wybuchy padła ku przestrachowi Litwy starodawna twierdza Nauenpille, uważana dotąd za niezdobytą“ — mówi K. Szajnocha w dziele: „Jadwiga i Jagiełło“, więc w czasach Jagiełły weszła broń palna u Polaków w użycie. W Naruszewicza Historyi narodu polskiego, t. VI., str. 183 znajdujemy pierwszą wzmiankę o działach pod r. 1383, gdzie mówi, że „Mikołaj pleban Biechowski, ciekawie na ulicy atakowi się przyglądający, kulą kamienną ubity został“. Było to przy obleżeniu i zdobyciu miasta Pyzdr przez Wincentego z Kęp, wojewodę

Poznańskiego. Na str. 193 powiada w dopisku do strzelców: „Nie wiadomo nam, jacy to byli strzelcy u Sasina, rozumiem, że ogniści, ponieważ już strzelba ognista dobrze wtenczas była używaną i Gedymin, dziad Jagiełły, pod Wieloną czyli gdzieindziej od Krzyżaków zginął“.

Strzelby w ogóle zwano „pułakami od grzmotu huczliwego“, rusznicami zaś naprzód armaty, później fuzye z większym otworem. Mianowano też broń ręczną „balistą“, dawniej procę oznaczającą, lub „bombardą“. Ogólnie zwano broń palną ręczną „puszką“. Władyslaw Jagiełło użył broni palnej w celach wojennych już w r. 1383. Po bitwie pod Grunwaldem zobowiązali się byli Krzyżacy dać królowi kilka „balistas“. Bywały one używane przeciw Krzyżakom w latach 1454 do 1466. W taktyce dla Zygmunta Augusta były opisane rozmaite gatunki broni palnej. Puszki leżały przed żołnierzem na widełkach lub hakach, skąd też nazwę hakownic i półhakownic otrzymały. Działa spoczywały na osobnych przyrządach na ziemi lub też nawet w ziemię były wkopywane. Zapalano broń lontem, później weszły w użycie krzemienie, w końcu kapsle. Tak broń ręczna jakoteż działa były nader wielkich rozmiarów, osobliwie działa w ziemię wkopywane. „Gdy taki potwór zagrzmiał — mówi kronikarz — słyszałeś go w dzień na mil (francuskich) 5, w nocy na 10“. Z obu rodzajów broni wyrzucano „kamieńce“, a u puszek „kamienie z żelaza lub ołowiu“. Były też moździerze i haubice czyli granatniki.

W sztuce robienia broni palnej słynęli jako mistrze Krzyżacy, którzy dobre ludwisarnie w Gdańsku i Malborgu posiadali. Z czasem wyrobiła się i u nas znajomość wyrobu tej broni, i jak dawniej dla wyrobu pierwotnych gatunków broni były osobne cechy płatnerzy, łuczników, pawężników i t. d., tak teraz powstały cechy puszkarzy. Brak tej broni dawał się nieraz czuć w krajach sąsiednich, dowożono ją więc od nas Niemcom, Włochom, a trzeci Statut litewski zabrania pod karą gardła wywożenie broni palnej poza granice Polski w czasach wojennych.

W czasach Zygmunta Augusta założoną została w Nowem mieście fabryka broni, a gdy upadła, założył Stanisław August nową większą w Kozienicach. Z mniejszych fabryk broni godne są wspomnienia „zbrojarnia“ włocha Hieronima Caccia z Bergamu, który na swe rzemiosło otrzymuje w r. 1613 przywilej od króla. Były też fabryki w Korczynie, Świątnikach, gdzie rusznikarzy biskup krakowski i Jerzy Radziwiłł osadził, później słynęły Samsonowskie kuźnice, które dla 100.000 żołnierzy mogły dostarczyć broni. Na Litwie używano zatrutych strzał aż do r. 1512, w którym Konstanty ks. Ostrogski zabronił ich użycia. Wywrócony włosem do góry kożuch, łuk i kołczan z zatrutemi strzałami, wojenny sposób przeprawiania się przez rzekę u ogona końskiego, czyniły Litwinów podobnymi do Tatarów. „Sznejbrato“ bóstwo litewskie myśliwstwa i „Puskajles“ lasów, cofnęły się w głąb puszcz i znikły dla oka litewskiego pod naciskiem „ognistej broni“ wynalazku „chytrego Weneta“. Często broń palną zastępowała w bitwie szabla, były nieoprawne „brandary“, długie nieco zakrzywione „benskary“, ostatnie szczególnie używane przez jazdę, podobne do szyi indyków „indyczki“ i „karabele“. W nowszych czasach dobra była broń z fabryki Egidiusza Collata w Warszawie na Powązkach około roku 1845. Były też słynniejsze fabryki w Warszawie Karola Bekkera, Rauszera, Kwietniewskiego. W r. 1847 wyrabiano broni palnej i siecznej w dwóch fabrykach za 10.000 rubli.

Zbliżając się do końca nadmienię jeszcze tylko słów kilka. Przodkowie nasi z wielką ochotą oddawali się myśliwstwu, bo uważając je za szlachetną zabawę wprawiali nią młodzież do trudów i znojów, a nic bardziej nie rozwija ciała i umysłu, jak myśliwstwo. Rej z Nagłowic opisał myśliwstwo w swoim „Wizerunku“ z taką prawdą i uczuciem, że niepodobna mi oprzeć się pokusie przytoczenia tego opisu w jego dosłownem brzmieniu: „Lato przyjdzie, co z niem czynić. Pojedziesz zasię sobie z krogulaszkiem do żniwa, ano nadobnie żną, dzieweczki sobie spiewają, drudzy pokrzykiwają, snopki w kopy znosić układają, ano im i milej i sporzej robić, kiedy pana widzą, a wszakże nie owego, co się z nimi po polu z maczugą goni, albo biczem po grzbiecie kołacze. Tamże sobie i przepióreczkę ugonić może, ale nie owak, aby proso albo insze zboże ubogim ludkom łamać miał. Albowiem on patrząc na to nie może bez złości być, a mówi pocichu: bodajże w niej zjadł złego ducha. Też nie owak, aby wszyscy stali i dziwując się wołali: Owo chruściela ugonił, oni stoją dziwując się sierpy porzuciwszy. Krotofile jesienne. Tamże sobie możesz kazać i pieski, jeśli je masz, wywrzeć, tamże sobie wnet rozkoszną krotofilę uczynić, ano rozliczne głosy jako fletniczki z puzany krzyczą, ano myśliwiec wrzeszczy, trąbi, dojeżdżając za niemi. Wypadnie zajączek, ażaż go nie rozkosz poszczwać, za nim sobie pobiegać, a jeszcze lepsza do łęku go przywiązać i do domu przynieść, ano chuć i dobra myśl rośnie. ano krew się dobra mnoży, ano żołądek przechowywa, ano wszystko zdrowo, wszystko miło. A wszako jako na każdą rzecz, tak też i na tę trzeba patrzeć. Nie wonczas kiedy jeszcze zboża stoją albo drugie dorastają, bo już tam musisz bez rozmysłu bieżać, gdzie pan zając oboz swój zatoczy, ano jedno psi połamią, drugie szkapy podepcą, ano grzech, przeklęctwa a niewdzięczność darów bożych. Przyjedziesz do domu, ano grzybków, rydzyków nanoszono, ano ptaszków nałapano. Bo i to nie mała krotofila i pan sobie czasem w budzie posiedzi. Zima co za pożytki czyni. Przyjdzie zima, azaż małą rozkoszą, kto ma lasy albo łowiska, z rozmaitym się zwierzem nagonić, a jeśli się poszczęści, więc go nabić i przyjacielom się zachować i sobie pożytek może się z tego uczynić. A jeśli niema lasów albo wód wielkich, azaż też zła sarnka albo wilczek z siatkami go poszukawszy, a skóra dziś za pięć złotych mało nie jako rysia. Albo też kuszę żelazną na lisa zastawiwszy i za tego nie zła kopa. A nakoniec by też nie było więcej, ażaż nie rozkosz z charty się przejeżdżać, na cietrzewka sieć zastawić, kuropatweczkę rozsiadem przykryć, a przejeździwszy się, a obłowiwszy się do domu przyjechać. Ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki, w czaszy w rozkosznem piwie miasto karasków pływają“. Jakiż to miły obrazek spokojnego życia ziemiańskiego, w którem rozkoszne użycie polowania radowało szlachcica i większego pana. Takie polowanie miało być rozrywką, a nie niszczeniem własnego mienia licznemi psiarniami, stadami koni i ludzi, od niego rosła „dobra myśl“, mnożyła się „dobra krew“.

Już wyżej nadmieniłem, że ubita zwierzyna na rozmaite cele była używaną, następnie przytoczę jeszcze rozmaite gatunki futer i ubiorów, do których skór zwierzęcych używano. Były futra „bielina“ z zajęcy białych, „cejtuchowe“ z królików, z tych koloru czarnego były osobliwie poszukiwane, później sybirskie między czarnym gęsto włos

*

biały posiadające; cynkowane; centkowane z gatunków łasic; niedźwiednie; niedoliski; niedosobole futra z młodych tychże zwierząt; obrzezkowe z okrawków; perewistki; piesaki; bielki, późniejsze popielice; pupkowe; rosomaki; sobole; smuszki; szlamowe; szopy; rysie; wiewiórki; zawojki podolskie.

W XVIII. wieku kobiety mają bielistki, kałamki, tumaki, sobole; mężczyzni wilki i sobole. Wyrabiano czuby, czuchy czyli szuby, delije, delijki, deliury, dołomany, kiereje, kożuchy, mentliki, torłopy, węgierki, wilczury, niedźwiednie. Brano na kołnierze opuchy czyli wyłogi, palatynki, rękawki. Rysi błam przedni tak nóżkowy jak ślamowy sprzedawano po 200 złp. Ks. Kitowicz powiada o czasach Zygmunta III.: „Zimową porą najdawniej używano wilczur atłasowym karmazynem podszywanych, na sznur gruby srebrny lub złoty z kutasami pod szyją podwiązanych“. Wilczury nie były tylko z wilków, możniejsi nosili z krzyżaków, marmurków, futra z baranków siwych podszywano gronostajami. Im bielsze były wilki, tem więcej kosztowały, równie drogo płaciły się barwy marmurki, takie za Zygmunta Augusta ledwie za 500 złp. dostać można było (Starowolski, Reformacya obyczajów polskich). Krzyżaki lisy czasem do 100 dukatów kosztowały (Ładowski). Zwykła wilczura z wilków krajowych kitają podszyta nie kosztowała nad 4 do 6 dukatów. Osobliwie poszukiwane były wilki podolskie. Bekiesza była zawsze futrem podszyta gdy te znikły, przybyły kiereje wilkami podbite, u Litwinów niedźwiedziami. Szczególniej w używaniu były futra rysie, sobole, gronostajowe, wilcze, niedźwiedzie. Kity z piór czaplich, na głowach szłyki z rozmaitych futer doszły ostatecznie do takiej drożyzny, że je po 1000 złp. płacono. W końcu taki rozpowszechnił się zbytek, że nań nałożono wielkie kary. Konstytucya z lat 1613 i 1620 za suknie z futer sobolich, rysich, marmurków obłożyły mieszczan i kupców karą 1000 grzywien, a uboższych karą 200 grzywien (Vol. legum IV.) co później potwierdzono. Kity noszono za kapeluszem z piór orłów, rarogów, sokołów, żórawi, czapli, które ostatnie szczególnie drogie były. W porze deszczowej używano na łowach płaszczów „kopeniaki“, po turecku „kepenech“ od czasów Stefana Batorego, który je wprowadził (Gołębiowski, Ubiory).

Jako uzupełnienie tych uwag o starożytnem myśliwstwie należałoby jeszcze mówić o literaturze łowieckiej. Dział ten zachowuję sobie na czas późniejszy i zwracam się z prośbą o łaskawe udzielenie mi dat, odnoszących się do pisarzów i ich dzieł, mianowicie krótki rys ich życia, spis ich dzieł, pobieżną treść ich. Szczególnie wiadomości o dziełach dawnych bardzo mi pożądane. Takie zapiski upraszam nadsyłać łaskawie pod adresem: C. Kochanowski w Dorze, poczta Delatyn, albo na ręce Szan. Redakcyi „Łowca“, którą o pośrednictwo niniejszem proszę.



POLOWANIE NA DZIKIE GĘSI I KACZKI

PRZEZ

WŁADYSŁAWA KOTKOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Jakkolwiek Muzeum im. Dieduszyckich posiada 19 gatunków kaczek w Galicyi ubitych, wymienionych w pogadance pod tytułem: „Kaczki“ przez W. D. w kalendarzu „Łowca“ z r. 1884; nie widzę tam kaczki żałobniczej (podług Brehma Trauerente). Czyż by ta inaczej się po polsku nazywała? Takich kaczek ubiłem, zdaje mi się w r. 1879 w Październiku, na stawie w Zadnieszówce, po kilkudniowej silnej burzy 3 sztuki. Jednę wypchaną posłałem do muzeum Akademii umiejętności w Krakowie, dwie prywatnej osobie. Jednak stale przebywają u nas we wschodniej Galicyi tylko: krzyżówki, szarki zwane tu greki, podgorzałki, cyranki, cyraneczki, płaskonosy i ponury. Nie wszyscy myśliwi lubią polowanie na kaczki, wielu amatorów nie wie, jak na nie polować, podaję więc moje doświadczenia:

Na kaczory krzyżowe, które do wychowania młodego pokolenia po zniesieniu jaj przez samice, niczem się nie przyczyniają, przeciwnie przez swoją namiętność szkodzą, bo prześladują kaczki zlatujące z gniazd na żer, byłoby najlepiej polować w maju, na mokrych łąkach, bo wtedy można dojść do kaczora bardzo blisko. Ustawa tego nie dozwala. W pierwszych dniach drugiej połowy Czerwca, t. j. kiedy prawo ptactwo wodne strzelać dozwala, kaczor nie jest już szkodliwym, bo jest ociężałym, traci lotki, za kaczką nie ugania, siedzi w rzadkich oczeretach, poprzeplatanych spławkami, gromadnie, pomiędzy zaś temi znajdują się także i jałowe kaczki, którym gniazda popsuto.

Dobry myśliwy na staw jechać nie powinien, bo często czółnem gniazdo zepsuje, kaczki siedzące na jajach płoszy i wyrządza sobie w późniejszej przyjemności szkodę. Jeżeli zaś koniecznie ciągnie go ochota na kaczory, to niech jedzie czółnem po południu rzadkimi oczeretami, a strzeli na średniej wielkości stawie pierwszy raz co najmniej 20—40 razy, drugi raz nie będzie mógł strzelić ani połowy tego, i tak coraz mniej, aż po 5ciu do 6ciu razach w końcu Czerwca nie zobaczy kaczora. Natomiast w drugiej połowie Lipca, jeżeli chce mieć przez całą jesień kaczki, niech jeździ rano i wieczorem na staw i strzela nie podloty, ale starki, a młode same się wychowają i do jesieni ze stawu na inny nie odlecą; przeciwnie gdy się raz do stadka strzeli, a starka nie zginie, zaraz z młodemi na inne ucieka wody. Na tutejszych stawach polowanie na podloty z nagonką nie możliwe. Można je strzelać tylko wypadkowo lub na podsiadce na halawach i płesie raniutko i wieczorem. Dobrze jest także wyciąć kilka dróżyn od płesa w oczeret długości 20—30 kroków, oczeret ten ułożyć na kupkę, na tej ścieżce dać na niego trochę błota, bo na takich miejscach lubią się czyścić z pałek podloty i można je często zastać jadąc czółnem koło południa, czyszczące się lub spiące.

Najprzyjemniejsze polowanie na kaczki powyższych gatunków zaczyna się w Sierpniu. Wtenczas poluje się kilka razy na podrywcze kaczki, jeżdżąc podczas wiatru ostrożnie szuwarami. Do takiego polowania dobrze mieć powycinane drożyny, szczególniej na późną użyteczne jesień. Drożyny najlepiej wycinać w Lipcu tnąc sierpem lub kosą szuwary pod wodą, a o tej porze pod wodą wycięty szuwar ginie i za lat kilka jeszcze drożyny te są użyteczne. Aby dużo strzelać, trzeba na takie polowanie jeździć na jeden i ten sam staw najwięcej raz w tygodniu i rzadziej. W końcu Sierpnia już się kaczki zbierają w dwie gromady, siadają razem i najczęściej po kilku strzałach uciekają na staw inny.

Daleko więc lepiej, gdy się w dzień na staw przyjedzie i widzi wiele razem siędzących kaczek, płoszących się często bez przyczyny, zrywających, obsiadujących na nowo to miejsce, krzyczących, co krzyżówki gromadnie siedzące o tej porze zwykle czynią — nie strzelać do pojedynczo zrywających się kaczek, lecz jechać czółnem umyślnie głośno, pluskając wiosłem, do głównego miejsca. Wszystkie się wtedy zerwą, odlecą na błota i najbliższe wody, a myśliwy niech się w tem miejscu, gdzie kaczek najwięcej było, dobrze schowa, zakryje czółno zawiązując nad niem oczeret, zabezpieczy za pomocą tegoż chwianie się czółna i przygotuje ładunki, bowiem kaczki najdalej za pół godziny powracać będą, ale już nie razem, jak odleciały, lecz pojedynczo, po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt sztuk. W każdej porze dnia ten sposób dobry, najlepszy jednak po południu, bo pod wieczór kaczki mniej ostrożnie i niżej lecą. W podobny sposób, tu dodenką zwany, poluje się, gdy czas pozwala być jednego dnia na stawie wieczorem, przypatrzeć się dobrze, skąd się najwięcej kaczek na żer zrywa, wtedy nad ranem, przed świtem, trzeba tam jechać i trafić na ich miejsce, a schowawszy się, jak poprzednio, można strzelać od rannego brzasku do 9. godziny przed południem i dłużej kto ma cierpliwość, z małemi przerwami. Naturalnie jadąc dnia poprzedniego na zwiady, strzelać nie można, bo najczęściej dodenka przepadnie. Sposób ten jest o tyle nieprzyjemny, że rano rosa, której niejedna kropla padnie za kołnierz. Wioślarz musi być biegły, by trafił na upatrzone miejsce pociemku, kto się nie obawia przeziębienia i wielkich wygód nie potrzebuje, najlepiej zajechać wieczorem, po zerwaniu się kaczek, na upatrzone miejsce i tam spać w czółnie, co dla odmiany jest bardzo przyjemném. Z kaczek padłych w powyższe dwa sposoby, przepada zwykle $^1/_3$ część, bo się strzela na wszystkie strony, zwykle w wierzchowinach, pomiędzy spławami, gdzie czółnem jeździć trudniej. Zabierać kaczek ubitych nie można zaraz, lecz dopiero po polowaniu, więc zapomina się o wielu gdzie padły. Później, po ustąpieniu myśliwego, zjadają je błotniaki. Dobry pies aporter bardzo się tu przydaje, musi być posłusznym, by nie skakał do wody, aż mu się każe. Na takie polowanie najlepiej, gdy jedzie jeden myśliwy, we dwóch gorzej, ale można. Na takich dodenkach strzelałem nieraz 150 razy.

W początku Października kaczki rozsypują się więcej po oczeretach, lubią wtedy przez przymrozki i wiatry połamane szuwary, tataraki, zwłaszcza miejsca, w których się znajdują spławki, pływające korzenie i kęp.ny. Te tworzą się w zimie, gdy woda przybędzie, lód na stawie wzniesie, więc z korzeniami oczeret wyrywa. Nie można więc tak korzystnie jak w poprzednim miesiącu urządzić dodenki, za to najlepiej koło godziny 9tej zrana, bo o tej porze zwykle wietrzyk powiewać zaczyna, a pod wieczór ucicha, i kaczki już się obsiadły. Jechać trzeba na staw cicho, ostrożnie, rzeką, drożynami, o których wyżej była mowa, a można dużo się nastrzelać, zwłaszcza jeżeli dzień zimny, bo się kaczki bardzo blisko zrywają. Dobrego psa można umieścić na przodzie czółna, który zawsze wskaże, gdzie siedzi kaczka, a tam należy trącić czółnem w oczeret, a kaczka wzleci. Pies jednak niech nie aportuje, bo woda zimna i pies się nabawia różnych chorób, czyni się wiele hałasu i wypłasza kaczki. Najlepsze polowanie w tym miesiącu przy małym mrozie, bo wtedy oczerety do brzegów zamarzają, kaczki więc siedzą w krajach od rzeki płesa. Oczeretem potrzeba na kaczki jechać pod wiatr, płesem zaś z wiatrem, aby fala nie pluskała, bo to kaczka słyszy dobrze. W tym miesiącu lubią kaczki tak jak i inne gatunki, siedzić w gromadach po kilkaset, a nawet tysięcy na płesie, najczęściej na najbliższym stawie od spuszczonego, a wieczorem ciągną na żer. Wtenczas łapią je na wędki, zakładając na haczyki kawałeczki płuca, a wędzisko utyka się w dno, tak żeby tylko kawałeczek nad wodą sterczał. Do jednego wędziska przytwierdza się po kilka wędek ze szpagatu. Barbarzyński to sposób, bo się kaczkę złapaną męczy, zwłaszcza gdy zobaczy zbliżające się czółno. Widziałem to na stawie granicznym roku ubiegłego, gdzie jakiś myśliwy na mięso z pogranicznego miasteczka, Wołoczysk, całą jesień zakładał haczyki.

Aby kaczki z czystej wody (płesa) wypędzić i zmusić do przebywania w oczeretach, potrzeba je ciągle niepokoić, jeżdżąc po płesie daleko od oczeretów czółnem, należy powtarzać to kilka dni z rzędu, nie ruszając oczeretu, a dużo z nich bardzo obsiadza oczerety, zwłaszcze od brzegów. Dobry skutek robi także latawiec z papieru, puszczony z długim ogonem nad wodę na dni kilka. Przyjemne polowanie na kaczki stanowią także wieczorem ciągi. Z kaczek stale u nas żyjących ciągną: krzyżówki na jęczmień, hreczkę, błota, halawy stawowe, szuwary i spuszczone stawy. Cyranki i cyraneczki tak jak krzyżówki, ale nigdy nie ciągną na zboże. Szarki, podgorzałki, płaskonosy tylko na halawy i rzadkie oczerety, szczególniej gdzie jest racka. W polu ciąg rzadko się udaje, bo trudno znaleść dobre miejsce, rzadko trafiało mi się zabić więcej jak 6 kaczek. Podczas ciągu na jęczmień i hreczkę lepiej siedzieć w czółnie w oczerecie od kraju płesa, gdzie się znajdzie dużo piór kaczych, zwłaszcza gdy księżyć świeci, bo tam po zachodzie słońca strzeli się zawsze kilka cyranek, a krzyżówka skoro się naje jęczmienia lub hreczki, leci na staw pić wodę i można ją strzelać długo w noc. Najprzyjemniejszy ciąg wieczorny jest na szarki, bo te ciągną zaraz po zachodzie słońca, zwykle na małe halawki średnicy 10—30 m., słychać je zdaleka, bo kaczor ciągle żegocze, a ciągną przytem bardzo nieostrożnie, kto źle w lot strzela, może ich bić po kilka siedzących na jeden strzał, bo te nie obkrążając, padają na wodę i siedzą chwilę prawie nieruchomie, w kupce. Aby na miejsce dobre trafić, potrzeba w dzień objechać czółnem i szukać halawek, gdzie piór dużo, a szarek się nie zastaje, kaczka bowiem zawsze z wody, na której w dzień siedzi, leci wieczorem na inne miejsce na żer.

Zwykle bardzo dobrze ciągną kaczki krzyżówki i cyranki na szlamy podczas spustu stawu, t. j. od końca Września aż do lodu. Aby na miejsce dobre trafić, należy

jednego dnia przypatrywać się z brzegu, następnego upleść do tego miejsca, na które najwięcej podały kaczki „warkocz“. Warkocz plecie się zaginając pełnemi rękami grube garście oczeretu lub szuwaru na siebie, przydeptując nogami. Po tak złomanym oczerecie można przejść przez największe trzęsawiska bezpiecznie, bo na ciąg podczas spustu czółnem jechać nie można, albowiem kaczki żerują tam, gdzie bardzo mało wody, a bez takiej ścieżki, tu warkoczem zwanej, można wpaść w błoto, na niejednym stawie z głową. Gdzie szuwar zbyt rzadki, potrzeba omijać idąc wykrętami, albo narzucać na poprzek i wzdłuż snopy oczeretu. Dwie lub trzy takie ścieżki raz zrobione wystarczą na cały czas spustu, a gdy się na ciąg nie częściej jak dwa razy w tydzień chodzi, można każdym razem bić po kilkanaście kaczek. Do tego polowania jest koniecznym dobry pies aporter, kto go nie ma, rzadko dostanie zabitą kaczkę, a chcąc je pozbierać musi mieć w oczerecie dwie szerokie deszczułki, mniej więcej 2 cm. grube, 3 m. długie z dwoma sznurkami. Po takich deskach można obejść ale zawsze uważnie szlamy, stając na jednej desce, a drugą podciągając i t. d. Sposób to powolny i męczący, w razie poślizgnięcia się lub stąpienia na kraj deski, na rzadkich szlamach, nawet niebezpieczny. Ciągi wszystkie najlepsze w dnie ciepłe, bezwietrzne, po lekkim deszczu. Stawać trzeba tak, by być obróconym pod brzask zachodu, wiatr ile możności powinien być w plecy, bo kaczka siadając obraca się pod wiatr, więc bliżej podciąga.

Polowania wiosennego nie opisywałem, bo na stawie w tej porze szkoda płoszyć. Najłatwiej jednak udaje się na ciągu na błotach, na stawie zaś potrzeba stanąć czółnem w miejscu, przez które najwięcej przeciągają kaczki, od płesa w kraju zazwyczaj skoszonego oczeretu, a za pomocą kilku gałęzi i trzciny okrywszy czółno można dosyć zabić.

W „Pogadance“ wspomina autor p. W. D., że chłopi w okolicy Kołodrub łapią kaczki na sidła i wzywa myśliwych do opisania tego sposobu. Jakkolwiek nie widziałem tam tego sposobu, podaję jednak, co mnie o łapaniu kaczek wiadomo. Na stawach zwykle kaczki zapadają na płeso lub halawy, później podpływają do oczeretu. Trafiłem już na stawie granicznym, oprócz wyżej wymienionych wędek, długi sznureczek zaczepiony na oczeret do 30 cm. nad wodą, zaopatrzony wielką liczbą oczek z włosienia. Było to koło południa, a złapały się tylko 3 sztuki krzyżowek, kaczor i dwie kaczki, oraz jedna łyska. Wszystko było złapane za szyje i już nieżywe. Bardzo łatwo łapać w ten sposób kaczki, łyski i pernykozy na ryż, sieć używaną przez złodziei do łapania ryb, zastawiając ją w kraju oczeretu. Szczególniej łyski, które się z łatwością napędzać dają, można z całego stawu wyłapać. Kaczki nurkujące wpadają często do więcierzy, zastawionych na ryby, gdzie giną z braku powietrza; widziałem w ten sposób złapane podgorzałki. W Rosyi łapią kaczki krzyżowe w ten sposób, że dają im na ponętę snopy porozwiązywane hreczki na większe, suche, ze trzciny oczyszczone spławy, a gdy się już przyzwyczają i odwidzają spław licznie, zastawiają sieć na wzór używanej u nas do wyłapywąnia na zimę kuropatw i, jak mnie zapewniano, chwytają nieraz po kilkadziesiąt sztuk. Na szlamach spuszczonych stawów łatwo łapać kaczki w ten sam sposób, trzeba jednak koniecznie dawać na jedno miejsce pod oczeretem ponętę z hreczki lub innego zboża. Pojedyncze kaczki na szlamach łatwo się chwytają w zwykłe deptaczki (*Tellercisen*) albo w łapkę ze siatką (*Schlagnetz*).

Miło mi będzie, jeżeli wskazane tu sposoby polowania, nabyte długiem doświadczeniem, ułatwią któremu myśliwemu osiągnienie lepszego rezultatu

Podwołoczyska, 26. Lutego. 1885.

Zwierzyna i łowy w Bośnii i Hercogowinie

opisał

Ernest Dąbrowski.

Od chwili torowania drogi dla kultury w dzikich wyżynach Bośnii i Hercogowiny poza Sawą i Dunajem przez działa armii austryackiej, od chwili okupienia jej tamże szlachetną krwią dzielnych wojowników; poznaliśmy bliżej ów lud dziwny, jego obyczaje i zwyczaje, topografię kraju, jego przemysł i siłę twórczą.

Kraj „Królów Ramy“, których zamek rodowy Studenac dziś jeszcze, lubo już tylko jako mchem pokryte zwalisko, wieńczy wyżyny Prozoru, nie jest dla nas zagadką i nie jeden żywy, na ścisłej prawdzie oparty opis podaje nawet nie znającemu życia południowo-słowiańskiego, barwny i różnorodny jego obraz. Któż dzisiaj nie czytał o malowniczych, w ogrody obfitych miastach Bośnii, o płomiennych, ciemnych oczach dziewic serbskich, o nieprzejrzanych obszarach leśnych i o ich zwierzynie, zadziwiającej swoją mnogością? Kiedy się jednak, uzyskawszy sposobność zwidzenia tej „dumnej, złotej Bośnii“, krytycznie wglądnie w owe „opisy, szkice, sylwetki“, i jak one się tam jeszcze nazywają, to łatwo dostrzedz można, że one dosadnie i wyczerpująco opisują tylko historyczne, etnograficzne, może wreszcie statystyczne stosunki, ale pomijają prawie inne ważne i ciekawe względy. Szczególnie przyrodnik i myśliwy nie mogą z lekkich, niedostatecznych zarysów utworzyć jasnego wyobrażenia, albowiem opisy lasu, zwierzyny i łowów albo polegają na bardzo skąpym zasobie badań, lub też są wytworem fantazyi i pochodzą od osób w łowiectwie nie wykształconych, więc zawierają najsprzeczniejsze twierdzenia. Są też sprawozdania z podróży, docierające do najdrobniejszych i najwstrętniejszych szczegółów chaty bośniackiej, podające przerażającą wiadomość o barbarzyństwie ludu w stanie pierwotnym pozostającego, opisujące z upodobaniem każdy kamień bośniackiego jaru, który im drogę pamiętną na długie lata uczynił; ale mało który z tych opisów, które właściwością swoją dokładnie

charakteryzują stanowisko autora, zawiera w sobie wskazówki wspaniałej przyrody, która zaprawdę w całej swojej przepysznej piękności nie dla każdego jest dostępną.

Bośnia, kraj, na którym jeszcze nie spoczęła żadna ręka przetwarzająca stowarzyszeń reformujących, nie jest właściwie terenem dla klasy turystów, podróżników i myśliwych, których obejmuje trafne określenie „Fex“. Ale dla prawdziwego wielbiciela przyrody, a przedewszystkiem dla wytrawnego myśliwego, który tem większe ma upodobanie w zdobyczy łowieckiej, im z większą trudnością ją pozyskał, im mniej ona jest wynikiem zasad hodowania i przyswajania zwierzyny — takiemu dostarczy Bośnia prawdziwej rozkoszy, a wspomnienia z niej niezawodnie pierwszorzędne zajmą miejsce. Muszę tu w celu ścisłego trzymania się przedmiotu i złagodzenia wyżej uczynionego zarzutu dorzucić uwagę, że wykonywanie myśliwstwa w północnej Bośnii, nieprzejrzanym, dzikim, przeciętym tylko małemi rolami uprawnemi, obszarze leśnym, nie jest rzeczą łatwą i wymaga myśliwego w całem tego słowa znaczeniu. Mimo bogatego i wyborowego zwierzostanu taki tylko myśliwy może osięgnąć pokaźne rezultaty.

Kto kiedykolwiek przebiegał puszcze leśne, temu zapewne dziwną się wydawała głucha w niej cisza, żadnym nie przerwana głosem, zwłaszcza w porze południowej, a nie znający tajemniczych właściwości dziewiczego lasu, będzie uważał owe obszary jako zupełnie pozbawione wszelkich zwierząt. W puszczy leśnej nie dzieje się tak, jak w rewirach pielęgnowanych wedle najnowszych wzorów w celu pozyskania najwyższych dochodów, w których szeregiem ustawione pnie drzewne, nie mające pod sobą podszycia; tam poetyczny wyraz ciemności leśnej stał się od dawna ironią, a znajdująca się w nich zwierzyna z daleka jest widzianą. Bośniackie puszcze, przeważnie dębowe, nie tylko są miejscami prawie niedostępnemi z powodu nader bujnej wegetacyi, ale nie otwierają też nigdzie choćby najbliższego widoku. Nie rozwidniły upadłe w skutek burzy łomy lub przegniłe olbrzymy drzewne części lasu, oko nie sięga nawet na pięć kroków w dal, bo tam podnoszą się paprocie do wysokości człowieka i wraz z innym leśnym proletaryatem tworzą nieprzebitą ścianę. Gdzieniegdzie tylko las rozdzielające moczarki i rowy, jakoteż głębokie, najczęściej skaliste, źródłami i strumieniami poprzerzynane jary, w końcu strome jałowcem i jeżynami porosłe zbocza, dają nieco otwartego widoku. Ale i tu przy buszowaniu tylko wyjątkowo, a na zwyczajnych większych polowaniach z nagonką, nigdy prawie nie wychodzi zwierzyna na strzał, ponieważ jest ona niesłychanie rozważną, ostrożną i płochliwą z powodu wielkiej mnogości zwierząt drapieżnych.

O ile pustymi zdają się być lasy bośniackie za dnia, o tyle zadziwiającem okazuje się tam bogactwo zwierzyny w porze porannej i wieczornej. Wprawdzie i wtedy nie wiele można się spodziewać spotkania z nią z powodów wyżej wymienionych, ale różnorodne głosy, dochodzące ucha to z bliska to z daleka, świadczą o nader bogatym zwierzostanie. Kilka choćby bezcelowych, ale rozważnych wycieczek podadzą wnet wytrawnemu myśliwemu środki i drogi w celu osięgnienia pomyślnych rezultatów. Nigdzie nie objawia się w tak drastyczny sposób różnica między mistrzem w łowiectwie i zwykłym strzelaczem, jak w puszczy leśnej, a ostatni niech raczej zupełnie ukoi swoją namiętność do strzelania.

Po tych wstępnych, nieco zbyt długich uwagach, których pominąć nie mogłem, lubo może naraziłem cierpliwość czytelnika na ciężką próbę, a które do rozjaśnienia stosunków łowieckich Bośnii zdawały mi się niezbędnemi; przechodzę do wymienienia szczególnych rodzajów zwierzyny, i aby nie przytaczać wiadomości, czerpanych „ze słuchu“, zatrzymam się na części Bośnii, najbardziej ku północy wysuniętej, na Krainie, gdzie sam w różnych kierunkach przebiegałem, dołączone zaś urywkowo wiadomości o Hercogowinie pochodzą z wiarogodnych opowiadań pewnego austryackiego oficera, wybornego myśliwego.

Chcąc ująć mój wywód w system, rozpocząć muszę od wielkich łowów, zaznaczam więc niestety zaraz u wstępu dotkliwą próżnię — brak jeleni. Czy w północnej Bośnii w ogólności nigdy ich nie było, lub też z upływem czasu podobny ich los spotkał, jak sławne jelenie Serbii, z których niejeden mistrzowską ręką Ridingera uwieczniony został, trudno rozstrzygnąć, przechylam się jednak stanowczo ku pierwszemu twierdzeniu. Ponieważ ludność aż do najnowszych czasów uzbrojoną była w broń skałkową, a tak Turcy jak Bośniacy są lichymi strzelcami, nie wiedzącymi, że można też do uciekającej zwierzyny strzelać, to o wytępieniu w tych prawie niedostępnych miejscach nie ma wcale mowy.

K o z i c e znajdują się w Bosnii w górach, począwszy od Siny do Liwna i Trawnika, ale nigdzie w liczbie znaczniejszej. Przeciwnie niektóre miejscowości Hercogowiny, przedewszystkiem góry lodowcowe około Newesinia są bardzo bogate w tę zwierzynę. W tej okolicy bywa też podobno koziorożec, ale to nie pewne, i nasuwa się pytanie, czy to owo zwierzę, czyli muflony, dla których ów teren bardzo jest przyjazny.

Stan s a r n wyborny jest wszędzie prawie w Bośnii, mianowicie koło Banialuki, następnie w planinie Kozarac koło Pojedoru, na stokach dinarskich Alp i w niektórych miejscowościach Hercogowiny, lubo aż do okupacyi nie istniało wcale prawo ochrony, chociaż zima w Bosnii jest nader twardą i śnieżystą i jakkolwiek drapieżnictwo swobodnie i bezwzględnie buja. W tem też najwymowniejszy dowód, że las dziewiczy z swoją bogatą roślinnością i nieprzebitym gąszczem równie dobrze chroni zwierzynę, jak troskliwy myśliwy w starannie zagospodarowanych rewirach z uregulowanem wystrzeliwaniem, starannem żywieniem i tępieniem drapieżników. Bośniackie rogacze odznaczają się silnymi, wspaniale perłowanymi rogami i mogą stanąć obok sławnych rogaczów Marmarosu i rosyjskiej gubernii Tomskiej. Łowy są niestety z powodów wyżej wymienionych nadzwyczajnie utrudnione, o buszowaniu ani pomyśleć można, a nawet polowanie z psami, w podobnych miejscowościach zwykle najwydatniejsze, nie daje się tu urządzić. Ale na wabia można tu niejednego potężnego rogacza ubić, niemniej też na zasadce strzela się często, jeżeli miejsce dobrze wybrane; w czem wszakże potrzebną jest dokładna znajomość terenu. Najodpowiedniejsze są leśne źródliska w miejscach nie obfitujących w wodę, a znajdowane tam na wilgotnym gruncie liczne tropy są wskazówką bogatej zdobyczy. I tu wszakże zachodzi to złe, że zasiadkę urządzać trzeba blisko źródła, chcąc mieć jasne pole do strzału, więc przy całej ostrożności jedynym rezultatem jest głos trwogi popłoszonego rogacza. W każdym razie zasiadka taka bywa ponętna, bo strzela się zwykle także do lisów, żbików albo wilków. (Dokończenie nastąpi).

Gawęda starego biuralisty.

WEDŁUG OPOWIADANIA SPISAŁ
JAN ŁADA.

Nigdym ja nie był usposobiony do karkołomnych exercycyi, za młodu anim się ślizgał, ani śród towarzyszów szkolnych brał udział w gimnastycznych ćwiczeniach i igraszkach, ani tańczył namiętnie, ani marzył o światoburczych zapędach, cichy, spokojny, szedłem utartą drogą domowego i szkolnego wychowania, uczyłem się pilnie, ozdobiłem skroń wieńcem doktoratu, wszedłem na drogę urzędniczą, i oto po latach czterdziestu gorliwej i uznanej służby jestem emerytem radcą i starym próżniakiem. W szkołach lubiono mnie i szanowano, lubo nieraz nazywano mazgajem, w urzędzie ceniono moją pracę, moje spokojne i zgodliwe usposobienie, podwładni szanowali, zwierzchnicy podnosili uznaniem zasługi, i jakoś długie życie ubiegło nie miotane burzliwemi falami, nie bez troski, ale też nie bez niejednej rozkosznej chwili. Dosyć wcześnie zawarłem śluby małżeńskie z osobą wybraną sercem, ale Bóg nie dozwolił mi używać szczęścia rodzinnego, po kilku miesiącach złudnej ziemskiej rozkoszy, pożegnałem moją ubóstwianą na wieki, mogiła zabrała moje szczęście na zawsze, żal nieukojony do dzisiaj, wyrył bolesne wspomnienia na całe dalsze życie, i odtąd już sam szedłem drogą żywota, opierając się chyba o dalszą rodzinę, która jako szczerze do mnie przywiązana, była mi zawsze drogą.

Kiedym tedy syt biurowej pracy postanowił jako emeryt oddać się próżniaczemu życiu i istotnie już uzyskał dymisyę z uznaniem, a nawet ozdobieniem długoletniej, gorliwej pracy, ani mi się marzyło, że tem sprawię sobie nieszczęście. W pierwszych dniach było mi jakoś lekko i swobodnie, żadnych nie miałem zobowiązań, żadnych trudów, oddany samemu sobie roiłem plany przyszłego życia bez trosk i bez ścierania się z namiętnościami ludzkiemi, urządzałem sobie wygodne gniazdo, w myśli budowałem gmach przyszłych moich próżniaczych czynności, chciałem też być pożytecznym rodzinie i społeczeństwu czy to radą, czy czynną pomocą; ale kiedy już plany były zupełnie osnute, zabrakło wątku do ich wykonywania, jakiś ciężar padł na moją duszę, w sercu uczułem jakoby bezdenną próżnię, myśl się plątała i rwała, żałość i boleść dziwna opanowała mnie. Napróżno godzinami całemi krążyłem około gmachu urzędowego, w którym przez wiele lat pracowałem, chwytałem kolegów z biura w celu gawędki o sprawach urzędowych i ludziach im oddanych, wertowałem gazety, doniesienia urzędowe i dawniejsze referaty, nawet kodeksy; kamień ów przygniatający moją duszę nie zsuwał się z niej, owszem coraz dolegliwszym ciężarem cisnął, nieraz łzami zachodziły oczy, żal bolesny jątrzył ranę utkwioną w głębi mego serca. Po kilku miesiącach policzki moje, niedawno jeszcze pełne życia, zapadły, oko okryło się mgłą smutku i boleści, ciało straciło sprężystość i siłę, wlokłem się po miejskim bruku jak starzec dogorywający.

Stan taki mego zdrowia, przeraził moją rodzinę, a miałem dwóch siostrzeńców. Jeden z nich był wyższym urzędnikiem, starym i łysiejącym już kawalerem, którego naprożno nieraz upominałem, aby sobie rozniecił ognisko domowe, przy którem i ja stary mógłbym się rozgrzać; drugi młodszy miał sporą własność ziemską, na której gorliwie i nie bez dobrego skutku gospodarował. Pierwszy poza godzinami urzędowemi zatopiony był w książkach które jak smok nienasycony pochłaniał z pożytkiem wprawdzie dla umysłu, bo czytał tylko rzeczy poważne i nauczające, które go wszakże napawały mizantropią i wstrętem do namiętności ludzkich; drugi pełen życia, ruchliwości, energii, ale bez gruntowniejszego wykształcenia, do którego od młodości nie miał chęci, ożenił się z osobą miłą, ładną, dobrą, cieszył się już trojgiem drobnego potomstwa, i jak wyżej powiedziałem, gospodarował dobrze i szczęśliwie.

Otóż każdy z nich patrząc na upadek moich sił i zdrowia inaczej radził. Urzędnik Jan od początku mojej emerytury znosił mi książki rozmaitej treści, któremi pragnął zająć mój umysł i oderwać od smutnych, trawiących mnie myśli. Chętnie ja zawsze oddawałem się czytaniu, szczególnie dzieje naszego upadku zajmowały mnie żywo. Biografie, pamiętniki, monografie i inne pisma swoich i obcych pisarzy, dotyczące tej smutnej epoki były mi znane, i nieraz zatopiwszy się w zajmującym opisie tych czasów, bezsenną niemal noc przepędziłem, wiążąc z sobą sprzeczne zdania i poglądy, odnoszące się do tej chwili dziejowej upadku potężnego niegdyś państwa i narodu. Jako spokojnego i rozważnego z natury, zajął mnie mocno nowy system wykładu dziejów szkoły historycznej krakowskiej, Siemieński, Szujski, Tarnowski, ks. Kalinka, Bobrzyński, Lisicki i inni pisarze, do tego obozu należący, ściągnęli ku sobie moją uwagę, ale ostatecznie oddając należną cześć ich talentowi pisarskiemu, ich głębokiemu wnikaniu w tajniki dziejów, ich niezmordowanej pracy i zacnej w gruncie intencyi, wyrobiłem w sobie silne przekonanie, iż to są pisarze wielkiej zasługi, bo odważyli się odsłonić ujemne strony naszej przeszłości dziejowej, ale uchybili tem, że nożem anatoma **bezwzględnie** krajali ciało własnej matki i zapragnęli przytłumić w sercu jej synów gorącą dla niej miłość. Szeroko mógłbym o tem mówić, ale to nie należy do rzeczy, więc wracam od niej.

Próżne były usiłowania Jana zajęcia mego umysłu treścią książek, których mi dostarczał, skutek nie odpowiedział poczciwym jego zamiarom. Nadjechał brat jego Stanisław, z żoną i dziećmi, których nie widziałem od czasu opuszczenia czynności biurowej. Częste korespondencye między braćmi uwiadomiły go o złym stanie mego zdrowia. Tryskająca pełnią życia gromadka ta obskoczyła mnie, otoczyła serdecznem przywiązaniem, rozruszała i ożywiła tak, iż po kilku dniach czułem się weselszym, swobodniejszym i zdrowszym, a nawet już poczynałem brać udział w wesołych igraszkach dzieci. Obcesem wreszcie zagadnął mnie Stanisław: — Wuju przyjechaliśmy po ciebie, wiemy co ci dolega, bezczynność cię trawi, zabieramy cię do siebie i mamy nadzieję, że cię tam zająć i troskliwie pielęgnować potrafimy. — „Ależ mój drogi — odparłem — co ja tam między wami będę robił, zatruję wam spokój i swobodę, i ostatecznie ucieknę do owego miasta, z którem w ciągu długiego życia się zrosłem, bez którego żyć nie potrafię“. — Na ten temat trwał spór między nami dosyć długo, ale namowy siostrzeńca, pieszczoty jego miłej żony, przymilania się dziatwy skłoniły mnie do heroicznego postanowienia zamieszkania na wsi, choćby tylko na próbę. Z jakąś trwogą nie-

określoną puściłem się na ten hazard, ale uzbroiłem się w silne postanowienie, w którem wytrwać pragnąłem.

Przybyłem na wieś jakoś w drugiej połowie Lipca, gdy gorąco już wrzała robota żniwiarska. Uroczysta to chwila dla rolnika, bo to plon jego pracy płaci mu wszelkie trudy, troski i niepokoje, nie dziw, że podwojonem tętnem bije krew w jego żyłach, że nadzieja dobra lub smutek ciężki rozpiera mu piersi, rozdyma serce uczuciem gorącem. Zasobny i strojny był dom Stanisława, czystość, porządek, dostatek, gdzieniegdzie nawet zbytek świeciły wszędzie. Dworzec murowany, obszerny, mieścił w sobie niemało komnat, z których niejedna wykwintnie nawet była sprzętami przyozdobiona. Przybyliśmy już dobrze o zmroku, przyjęła nas służba, światła rzęsiste jaśniały wszędzie, bujny dym wychodzący z kominów świadczył o czynności kuchni. Gdyśmy przestąpili progi domostwa, młodzi gospodarstwo witali mnie starym obyczajem jako gościa serdecznie, poczem wskazali przygotowane dla mnie dwa pokoje, wygodnie i z całym komfortem urządzone. Już na wstępie ujęła mnie ta serdeczna gościnność i ów wyraz szczerej dla mnie życzliwości, toż z rozrzewnieniem dziękowałem im i wypraszałem się od zbytecznej dla mnie uwagi zapewniając, że skromne moje wymagania.

Nazajutrz rozpoczął się nowy tryb mego życia. Od dziecka mieszkaniec miasta, śród jego ruchu i wrzawy, śród ścierania się zabiegów różnorodnych i namiętności; z ciszą wiejską nie mogłem się na razie oswoić, powaby natury były dla mnie obce, ludzie nawet, krzątający się około swych czynności, zdawali mi się być z innego świata, którego wcale nie znałem. Nieraz wprawdzie na dzień jeden lub kilka byłem gościem na wsi, ale owe krótkie chwile nie dawały mi należytego obrazu życia sielskiego, któremu obecnie z własnej woli się oddawałem. Aby się należycie do niego zastosować, postanowiłem systematycznie badać je w wszelkich jego odcieniach i tem w początku czas zająć. Byłem pewnym, iż mój siostrzeniec zapewniwszy mi spokojne i wygodne umieszczenie u siebie, nie wiele się zresztą o mnie troszczyć będzie tem bardziej, że zajęcia gospodarskie, którym się nader gorliwie oddawał, mało mu pozostawiały czasu, użytego wyłącznie do praktyk myśliwskich różnego rodzaju. Myśliwstwo było namiętnością Stanisława, jeżeli nie myślał lub mówił o sprawach gospodarskich, to pewnie o niczem innem, jak tylko o myśliwstwie. Polityką zajmował się chyba w razie odwidzin sąsiada, który na nią skierował rozmowę, a miał w tym względzie zdanie jedynej gazety, którą codziennie przeglądał na pół drzemiąc. Czytać w ogóle nie lubiał, czytanie było dla niego niezawodnym środkiem usypiania, wyjątkiem w tym względzie był „Łowiec“, do którego Stanisław zabierał się wtedy, gdy najmniej do snu był skłonnym, odczytywał go, jak to mówią „od deski do deski“, i wiadomościami z niego obdzielał w każdej wolniejszej chwili żonę, ekonoma, także żażartego myśliwego, klucznicę, karbowego, nawet parobków i robotników, a szczególnie mnie, który zrazu najmniej zrozumieć mogłem jego uniesień i zachwytów z Łowca czerpanych. Ale po kilku tygodniach tej teoretycznej nauki myśliwstwa, zainteresowałem się i ja Łowcem. Przywykły do czytania rzeczy poważnych, zwłaszcza historycznych, rzeczy ogólnego i żywotnego znaczenia, z ironicznem lekceważeniem wziąłem to Pismo do ręki, przeglądnąłem pobieżnie i rzuciłem niedbale. Następny numer już niejako z obowiązku przeglądałem z wiekszą uwagą, szczególnie niektóre artykuły barwną formą, żywą treścią istotnie się odznaczające, nawet kronika chaotycznem zebraniem drobnych wiadomości, zainteresowały mnie. Dziwne, po odczytaniu całego numeru, obudziła się w duszy mojej jakaś iskra energii, zapału, krew żywiej krążyć poczęła, jakieś instynktowe uczucie dla powabów i potęgi natury tleć we mnie poczęło, niejeden bardziej plastyczny ustęp opisu odczytałem powtórnie, inny mimowoli odtwarzał mi się w myśli. Wrażenie to przeminęło, inne zatarły je lub zacierałem je sam perswadując sobie, że ta błaha rozrywka rozgorączkowanej młodzieży i bogatych próżniaków nie powinna zaprzątać myśli poważnego i nie-młodego człowieka. Ale szatan kusiciel nie ufał stałości mego przekonania i jakoby na tym punkcie chciał mnie na próbę wystawić, nieustannie podsuwał obrazy bądź to wzięte z natury, bądź z ścisłego myśliwstwa, które ściągać moją uwagę musiały.

Jakkolwiek jako emeryt byłem uprzywilejowanym próżniakiem i żadną obowiązkową czynnością obarczony nie byłem, to jednak tu na wsi, gdzie według mego uprzedzenia śmier, z nudów mi zagrażała, żadnej chwili nie miałem wolnej. Skorom się obudził, już drogie pieszczotki moje, troje dzieci oblęgły moje łóżko, szczebiocąc, swawoląc, targając skąpą ramkę włosów moich na łysej głowie, wąsy i broda wolne były od tej miłej męczarni, bom je jako biurokrata dawnego autoramentu starannie golił. Musiałem tym szczebiotliwym ptaszkom prawić dziwne baśnie, do których często mimowiednie jakieś formuły prawne się zamięszały, nieraz trzeba było pomagać im do wywracania koziołków i innych psot, gzić się z niemi, śmiać, trąbić, płakać, udawać głosy zwierząt, aż wreszcie gdy mi się dzieciaki naprzykrzyły, uczułem umęczenie i głosu niestawało, odpędzałem tę hałastrę ściskając i całując, a zarazem perswadując, że „dziadzio“ będzie spał, a mama czeka z śniadaniem i łakotkami. Gdy frunęło to szczebiotliwe ptactwo, wstawałem i ubierałem się z całą systematycznością starego biurokraty - emeryta, co trwało najmniej godzinę. Poczem wchodziłem do jadalni, gdzie mnie już gospodyni z śniadaniem oczekiwała. Pół godziny albo i dłużej trwała gawędka z miłą, wykształconą żoną Stanisława, który zwykle ledwie na chwilę wpadał i mięszał naszą rozmowę wiadomością o powodzeniu lub niepowodzeniu gospodarskiem. Gawędkę tę przerywała najczęściej klucznica odwołując panią do zajęć domowych, wtedy ja poigrawszy jeszcze z dziećmi i wypieściwszy je, wychodziłem z zapalonem cygarem na przechadzkę do ogrodu lub poza wieś, gdziem zawsze najróżnorodniejsze, a dla mnie mieszczucha dziwne czynił spotrzeżenia, które dla wieśniaków wcale nie były osobliwością. W ogrodzie liczyłem gniazda ptasie, i srodze się martwiłem, gdy którego zabrakło, litowałem się nad widoczną chorobą jakiegoś drzewa i przejmowałem się postanowieniem zaradzenia jej, śledziłem ruchy owadów, motyli, ptaków i wysnuwałem z nich wnioski o ich obyczajach, wpatrywałem się w kształty i barwy kwiatów, napawając się ich wonią, badałem wpływy atmosferyczne na życie roślin i zwierząt, niestety bez naukowej podstawy, rozróżniałem szkodliwe istoty od pożytecznych, gatunki ziemi, drzew, roślin. Tak upływał czas nader szybko, anim spostrzegł, kiedy słońce podniosło się poza punkt południowy i dzwonek począł zwoływać na posiłek śróddniowy. W polu inne miałem zajęcie, tu wszystko dla mnie było ciekawe, pociągające, sam sobie nie umiałem wytłumaczyć, jak prosty, skromny obraz ruchu sielskiego tyle w mej duszy może obudzać wrażeń. Wszystko ściągało moją uwagę, w stroju wieśniaczym widziałem dziwną malowniczość, w pracy ludzi nieznany mi typ odrębny, w zwierzętach, roślinności, powietrzu, nawet w stropie niebieskim upatrywałem zagadki do wyjaśnienia. Podczas żniwa z wielką przyjemnością towarzyszyłem mozolnej pracy ludzi, słuchałem rzewnych ich pieśni, owej skarbnicy ich dziejów i uczuć

chętnie rozmawiałem z nimi wnikając w ich dolę i niedolę, dawałem im rady, a często i grosza nie skąpiłem, gdym widział istotną potrzebę. Toż wkrótce „stary pan“ chętnie i mile był przez nich witany, zwłaszcza w ubogiej chacie, gdy do niej wstąpił na gawędkę i zasilił radą lub czynem.

Tak upływała połowa dnia. Po obiedzie kryłem się w moim miłym kątku na niezbędną dla emeryta drzemkę, poczem raźniej brałem się do książki, aby zasilić żądnego wiedzy ducha nową wiadomością Nie brakło mi pod tym względem zasobów. Spory zapas przywiozłem z sobą bądźto własny, bądź zabrany od pożeracza książek, siostrzeńca Jana. Zresztą i dom był w te skarby zasobny. Stanisław lubo nie czytał, z poczucia obowiązku przeznaczał dosyć znaczną kwotę na czasopisma i dzieła polskie, a nawet obce, jak mawiał „dla dzieci“, a żona jego Anna czytała wiele, wprawdzie przeważnie rzeczy lżejszych, ale nie jedna poważniejsza książka zwracała jej uwagę i oświecała jej wrażliwy umysł. Nowości literackich dostarczał brat Jan i należy przyznać, że dobry czynił wybór. Około wieczora ruszaliśmy zwykle całą gromadą w pole do robotników z wielką uciechą dla dzieci, harcujących swobodnie. Ze zmrokiem gromadziło się wszystko we dworze. Wypłata należności robotnikom, gwar, wrzawa, narady, przepowiednie powietrza na dzień jutrzejszy, rozprawy gospodarskie zajmowały dosyć czasu. Gdy wreszcie robotnicy się rozeszli, a domownicy po wieczerzy ku spoczynkowi się zabierali, wchodzili do pokoju Stanisława ekonom i karbowy na zwykłą codzienną naradę, czyli jak mówiono „po dyspozyzyę“. Zrazu nudziły mnie te długie, często dwie godziny trwające rozprawy, więc chwilę posłuchawszy wymykałem się do Anny i dzieci, ale stopniowo coraz więcej interesować mnie poczęły owe narady w miarę, jak rozpatrywałem się w sprawach gospodarskich i myśliwskich, które zawsze były z sobą ściśle połączone. Ekonom i karbowy byli typami dawnych sług gospodarskich, jeden i drugi starzy, siwi ale wcale wiekiem nie przygnębieni, od lat kilkudziesięciu pełnili w tym domu swe obowiązki, zrośli się z nim, z jego obyczajami, potrzebami i właściwościami, szczerze życzliwi temu domowi uważali go za swój, szczerze też troszczyli się o jego dobro. Ekonom średniego wzrostu, silny, barczysty, wygolony, z sumiastym siwym wąsem i szczecinowatą, gęstą, dobrze szpakowatą czupryną; karbowy chudy, długi, obrosły, łysy, w przykładnej żyli z sobą zgodzie, bo szczerze i poczciwie pracowali wspólnie dla pomnożenia dobra tego domu, z którym ich długa przeszłość i serdeczny wzajemny stósunek wiązały. Dwór był opiekunem ich rodzin, oni byli przyjaciółmi dworu. Jak w sprawach gospodarskich łączyła ich zgoda, oparta na wspólnym interesie, tak w innym kierunku często wiedli zacięte spory, mianowicie w myśliwstwie. Ekonom był myśliwym amatorem w dawnem tego słowa znaczeniu, bezwzględnym i namiętnym; karbowy, dawniej gajowy, był więcej fachowym, czerpiącym swe wiadomości z własnego doświadczenia, więc względniejszym dla zwierzyny, którą nie tylko wybijać, ale też ochraniać pragnął. Z tego kontrastu wynikały między nimi zwady, które ostatecznie szły przed *forum* Stanisława, on je rozsądzał i jego wyrok przyjmowały obie strony chętnie. Mruczał wprawdzie ekonom lub karbowy, koso patrzali na siebie przez czas niejaki, ale w końcu zwada poszła w zapomnienie i zwykła następowała zgoda. Powtarzało się to niemal co dzień przy naradzie gospodarskiej, która zawsze kończyła się rozprawą myśliwską Wkrótce z wielką przyjemnością słuchałem tej mięszanej pogadanki o rzeczach gospodarskich i myśliwskich, a w końcu brałem nawet w niej żarliwy udział i stawałem zawzięcie po stronie ekonoma lub karbowego, często wbrew zdaniu Stanisława, i zdarzało się czasem, że moje twierdzenie przeważyło i stało się wyrokiem w sprawie spornej Ale nie rychło do tego doszło, dopiero wtedy, gdy nasłuchawszy się i naczytawszy rozpraw myśliwskich, nabywszy już nieco praktyki w tym względzie, mogłem oprzeć zdanie moje na własnem lub zacytowanem obcem doświadczeniu. Ale nie uprzedzajmy naturalnego rozwoju mego opowiadania.

Rozległy las był pod opieką młodego wychowańca Szkoły gospodarstwa lasowego. Polecił go Stanisławowi Dyrektor tejże szkoły jako zdolnego i pilnego, mającego chlubne świadectwa z złożonych examinów. Był to młody człowiek pełen najlepszych chęci i gruntownej teoretycznej w dziedzinie leśnictwa wiedzy, z energią zabrał się do czynności swego zawodu i w pierwszym już roku wykazał świetne ich rezultaty, bo oprócz uporządkowania gospodarstwa w lesie, usunął dawny chaotyczny bezład i nadużycia. Poprzednikiem jego był stary wyga, jak to mówią „kuty na cztery“, dworak, krzykacz, gwałtownik, wreszcie kłusownik dbający tylko o swoje dobro, ale myśliwy duszą i ciałem, istny syn puszczy leśnej, który jak majtek okrętowy po stałym lądzie, nie umiał chodzić w otwartem polu, bo mu się zdawało, że ludzie i zwierzęta, niebo i ziemia na niego tylko patrzą i sięgają do dna jego nieczystej duszy. W lesie tylko był on panem samego siebie i władcą wszystkiego, co się w nim znajdowało. Od dziecka zrósł się on z nim, czytał w treści jego jak w otwartej księdze, przenikał tajniki leśne, badał najdrobniejszą wskazówkę życia, znał zwierzynę stałą jak skąpiec każdą sztukę złota, którą z lubością przechowywał, żył z nią, przemawiał do niej łaskawie lub groźnie, i wybierał z niej *partem leoninam* dla siebie, z reszty cząstkę przeznaczał na urządzane łowy. Najmilszą harmonią był dla niego szalony szum wichru, miotającego koronami drzew, wściekła burza była ochłodą dla jego duszy, palonej gorączką namiętności.

Myśliwstwo było tradycyjną cechą rodu Stanisława. Przodkowie jego obok rycerskiego rzemiosła studzili gorącą krew w zuchwałych łowieckich wyprawach, ojciec też po ostatniej nieszczęśliwej wojaczce osiadłszy spokojnie na roli, chłodził niedogasłe żary w twardych zapasach z dzikim zwierzem, którego jakoby nieprzyjaciela na polu walki, brał strategicznym planem lub szaloną brawurą osobistą Nie szczędził on też grosza na tę umiłowaną przez siebie rycerkę, różnorodne przybory myśliwskie kosztowały wiele, otwarte gościnne wrota jego dworu ściągały ogromny zastęp gorących zwolenników św. Huberta, uginały się stoły pod zastawą sutą, wypróżniały się mnogie antały wina, budzącego animusz rycerski w licznej drużynie myśliwskiej, — nie dziw przeto, że część znaczna pańskiej niemal fortuny wyszumiała wraz z owym animuszem. Nieodrodny syn, wychowany w takiej szkole, jako młodzieńczyk zapragnął iść w ślady ojca, ale jako dojrzały mąż, rozważywszy groźne następstwa, ochłodziwszy burzliwą wrodzoną krew poczuciem obowiązków dla kraju i rodziny, poskromił w duszy chucie myśliwskie zbyt zapędliwe, ujął w karby rozuzdane dotąd myśliwstwo, i takie mu tylko zakreślił ramy, na jakie pozwalały stosunki majątkowe, jakie koniecznemi się okazały dla dogodzenia wewnętrznemu jego popędowi. Więc już nie o każdej porze, bezwzględnie na obowiązki ziemianina, oddawał się tej szalonej uciesze, nie marnował dla niej czasu i grosza, lecz pragnął używać tej rozkoszy tylko w miarę możności i konieczności. Przedewszystkiem należało uregulować myśliwstwo wraz z gospodarstwem lasowem, usunąć nadużycia i wszelkie pokuszenia do dawnego trybu łowieckiego. Nie zabrakło mu w tym względzie energii, mnogie przybory myśliw-

skie poszły do archiwum, które sobie w jednej z obszerniejszych izb swego dworu urządził, liczną psiarnię wybito, rozdarowano, pozostawiwszy tylko małą jej cząstkę, przymknięto zbyt gościnne wrota dla hulaszczych towarzyszów wypraw łowieckich, a gdy właśnie poczęto się gorąco zajmować uregulowaniem myśliwstwa krajowego na podstawie obowiazujących w tym kierunku Ustaw, postanowiono wraz z przystąpieniem do uorganizowanego Towarzystwa łowieckiego centralnego polować tylko w takiej mierze, jaką zakreślały owe Ustawy. Zarządzenia te strasznym były gromem dla dawnego leśniczego, próbował on wyłamywać się z nich i to było jego zgubą, stracił długoletnią służbę, dostał emeryturę, ale wyrwany z swego żywiołu wegetował lat kilka, jak roślina na nieodpowiedni grunt przesadzona, wreszcie rozpił się i umarł pod ławą szynkowną, pozostawiając liczną rodzinę na łasce dworu i Opatrzności.

Ów to leśniczy był zawsze w pamięci ekonoma i karbowego, nie było jednej narady wieczornej, przy którejby jeden i drugi z nich nie złorzeczyli, mówiąc o sprawach gospodarskich, niewierności i nieuczciwości leśniczego dla dworu, a zarazem w ustępie ściśle myśliwskim nie podnosili pod niebiosa jego zalet i przymiotów. Ztąd też naturalnie wynikało, że młodemu leśniczemu dostawały się w pierwszym ustępie pochwały, w drugim zaś urągliwe lekceważenie. Jakoż istotnie zasługiwał on na ostatnie, oddany całą duszą zawodowi leśnemu, nie miał zrazu ani iskierki zmysłu dla myśliwstwa, nosił wprawdzie czasem jakąś niepokaźną strzelbinę na ramieniu, ale chyba dla osobistej obrony, bo żadnej zwierzyny nie szukał, a uważając ją jako szkodliwą dla gospodarstwa lasowego, radby był się jej pozbyć.

W niedzielę rano odbywały się zawsze tak zwane „sesye“, na których ekonom, leśniczy i karbowy wytaczali wszelkie sprawy wobec Stanisława, układając program przyszłej, tygodniowej czynności W każdej z nich brałem chętnie udział, bom się serdecznie bawił gorącym konfliktem adeptów myśliwstwa z zwolennikiem racyonalnego bezwzględnego gospodarstwa lasowego. Sierdzili się strasznie pierwsi, pokonywał ich rozumną dialektyką drugi, aż pot gorący występował na mięsiste czoło ekonoma, rumieńcem gniewu okrywały się wychudłe, blade lica karbowego, rozjemcą stawał się Stanisław, rozstrzygając spory, ale dwa te obozy zawsze były sobie wrogie i zbliżały się chyba do zażartej walki.

Owóż stary gaduła rozwiodłem się szeroko o rzeczy może błahej, ale do rozwoju mego opowiadania niezbędnej, wracam więc do przerwanego tym ustępem wątku. Po wieczornej codziennej naradzie zalegała cisza grobowa we dworze, strudzeni robotnicy i czeladź domowa usypiali snem kamiennym, wnet też po wieczerzy dzieci i Stanisław oddawali się nocnemu spoczynkowi, ja zaś z Anną często do późnej godziny czytaliśmy lub rozmawiali o sprawach bieżących, rodzinnych, sąsiedzkich lub w ogóle krajowych i rozstawali się z sobą, aby nazajutrz znowu żyć tym samym trybem.

Mówię tu o początkach mego pobytu na wsi. Nadeszła jesień, sprzątnięto plon z pól, uciszył się rojny gwar pracy, już tylko ozime zasiewy zaprzątały umysły wieśniaków. Nowa rozpoczęła się era — przeważnie myśliwska. Ekonom i karbowy przy wieczornej „dyspozycyi“ lekko tylko potrącali sprawy gospodarskie, a z wielkim fervorem zdawali sprawę z myśliwskich spostrzeżeń, Stanisław dłużej przesiadywał w domu, uważniej czytał „Łowca“, całemi godzinami przebywał w swem archiwum myśliwskiem, rozpatrując, porządkując, przestawiając, układając, ścierając, czyszcząc wszystko własną ręką. Czegoż bo tam nie było. Skóry niedźwiedzie, dzicze, wilcze, rysie, rogi jelenie i sarnie, kły potężne, trąby i trąbki myśliwskie różnych rozmiarów, strzelby począwszy od starodawnych garłaczów aż do drobnej ptaszniczki, przeznaczonej już naprzód dla najstarszego syna, klingi różnych kształtów i rozmiarów, stosy sieci, sidła, łapki, żelaza — słowem istne Muzeum myśliwskie, świadczące o tradycyjnej namiętności rodziny Stanisława do łowiectwa. Często wzywał mnie do przeglądu tego archiwum i opisywał szczegółowo skład i użytek każdego z tych przyborów myśliwskich, dodając uwagi o jego pochodzeniu i wypadkach, w których bywał używany. Z tych opowiadan można było złożyć kronikę rodzinną, bo nie tylko wydarzenia myśliwskie wchodziły w nie, ale też epizody dziejowe w których przodkowie jego brali udział. Tym sposobem umiał mnie zainteresować dla tych martwych zabytków przeszłości tak, iż wkrótce dokładnie znałem cały przybór myśliwski, jakiego dawniej używano. Prócz tego archiwum posiadał Stanisław w sypialni swojej, izbie obszernej, zbiór nowożytnej broni i przyborów myśliwskich, służących mu do użytku. Znajdowały się tu strzelby rozmaitych systemów, kordelasy, trąbki, torby myśliwskie i t. p rozwieszone na rogach jelenich i sarnich. Nad łóżkiem wisiały portrety rodziców, nie szczególnym malowane pendzlem, szabla ojcowska z wojennej wyprawy i wizerunek Zbawiciela, a przed łóżkiem rozścielała się skóra niedźwiedzia.

Będąc swobodniejszym często też wyruszał na polowanie czy to z wyżłem, czy też z małą obławą w okrajkach lasu na drobniejszą zwierzynę. Już w lecie, gdy na godzinkę lub dwie wybiegał z wyżłem na błota lub wody, wzywał mnie do towarzystwa, nie mogłem mu odmówić, więc łaziłem uzbrojony w strzelbę po brzegach błota, lub siadałem do czółna i przypatrywałem się z przyjemnością jego najczęściej celnym strzałom. Zachęcał mnie wtedy do strzelania, co też czyniłem, ale jakoś z przymrużaniem jednego oka nie mogłem sobie dać rady, przy strzale lekkie szarpnięcie strzelby i jakaś mimowolna trwoga były powodem, że moje strzały nie spotykały się z zwierzyną. W kniei także nie szczęściło mi się. Kiedy pierwszy raz wyskoczył na mnie zając i na kilka kroków siadł przedemną, takiej mnie nabawił gorączki, żem stracił przytomność i strzeliłem wprawdzie, ale podobno wcale nie mierząc.

Padł wreszcie obfity śnieg i jakby z letargu obudził do ruchu i życia nietylko domowych, lecz też okolicznych myśliwych. Ze świtem ruszył ekonom z karbowym w las i wnet zjawił się z raportem o obtropionej zwierzynie. Rozesłano posłańców w sąsiedztwo z wezwaniem na łowy z wskazaniem punktu zbornego. Przez cały dzień trwały narady i przygotowania do nich. Ruch i gwar w domu były niezwykłe. I o mnie nie zapomniano, Stanisław wybrał mi strzelbę, przygotował wszelkie przybory, nalegał i prosił, abym wziął w tej wyprawie łowieckiej udział. Oswojony już z życiem myśliwskiem, nie bardzo się opierałem.

Nazajutrz ze świtem głos trąbki obudził mnie ze snu. Roiło się już w domu jak w ulu pszczelnym. Ekonom i gajowy odbierali ostatnie dyspozycye i ruszyli z nagonką liczną w las, i my też podążyliśmy za nimi. Gdyśmy stanęli na punkcie zbornym, już zaproszeni myśliwi oczekiwali nas lub ściągali się ze wszystkich stron, a była ich nie mała liczba, zebrało się trzydziestu kilku myśliwych. Były w kniei dziki, a w jednym miocie obtropiono dwa wilki, więc na nie postanowiono naprzód polować. Ruszyliśmy, w milczeniu głębokiem zajęliśmy wskazane stanowiska. Odezwała się niezbyt głośno nagonka i sygnał trąbki, serce gwałtowniej w łonie myśliwych uderzyło,

gorączkowe oczekiwanie tchu prawie pozbawiało. Cisza — urywane głosy odzywały się z głębi kniei, które wiatr roznosił. Padł strzał jeden, drugi, po nich istna kanonada, zbliżająca się ku mnie. Krew zawrzała w starem mojem ciele, serce młotem uderzyło, wzrok wytężony wysłałem w knieję, i oto po chwili widzę balujące się w śniegu rozprószone stado dzików, bokiem ku mnie zdążające. Złożyłem się i kiedy pierwsza ogromna sztuka zbliżyła się może na kroków 50, strzelam raz, następnie drugi. Nim rozgorączkowany i niewprawny zdołałem nabić odtylcówkę, już cała gromada dzicza znikła mi z oczów, rozbryzgnąwszy się na wszystkie strony. Jeszcze padały strzały, wreszcie ucichło, nagonka doszła i miot się zakończył. Rozpoczął się gwar na linii myśliwych, opowiadania, sprawdzanie strzałów, poszukiwanie postrzelonych dzików zajęło umysły wszystkich. Ostatecznie rezultat tego miotu był nader świetny, zabito pięć dzików i wilka, który jeszcze przed odezwaniem się nagonki skrzydłem się wynosił. Między zabitymi dzikami była ogromna maciora, która padła od strzału — mojego. Kiedy po skończonym miocie wszczęły się badania strzałów i zapytywania o nie, przyszła i na mnie kolej. Anim marzył o tem, by mój strzał był trafnym, więc zapytany uwiadomiłem o moich dwóch strzałach do dzika, który przeszedł przez linię zresztą niestrzelany, a że stanowisko moje niedalekiem było od miejsca zbornego, wskazałem moje strzały raczej z obowiązku, nie przypuszczając wcale, iżby ztąd dla mnie mógł wyniknąć zaszczytny rezultat. Opatrzono dokładnie miejsca strzałów i tropy po nich, i dostrzeżono farbę, coraz obficiej tryskającą. Wysłano gajowego w celu śledzenia tropów, który też natychmiast za nimi ruszył. Rozpoczęły się narady względem drugiego miotu, i gdy już miano ku niemu podążać, odezwały się zdala nawoływania. Kilku myśliwych i naganiaczy poskoczyło ku owemu miejscu, gdzie zastano gajowego nad trupem potężnej maciory. Ponieważ nikt prócz mnie do niej nie strzelał, więc z tryumfem ogłoszono mnie jako pogromcę ogromnego dzika i królem miotu. Przyjmowałem okrzyki i hołdy z uśmiechem zadowolenia, ale zarazem z pomięszaniem, bom sobie sam istotnie nie umiał zdać sprawy z tych szczęśliwych strzałów, które mnie do dostojeństwa tryumfatora podnosiły. Mimo tego jednak jakiś duch wojowniczy wstąpił we mnie, gdy mnie hołdami pasowano na rycerza myśliwskiego i przejąłem się poczuciem własnej godności i pewności siebie, jakiej dotąd w ogóle, a pod względem myśliwskim wcale nie miałem. Rozwiązały mi się też usta, szeroko i szczegółowo opowiadałem dzieje szczęśliwego dla mnie wypadku, wziąłem gorący udział w ogólnych rozprawach z takim zapałem i wymową, jakobym od dawna należał do wytrawnych adeptów łowiectwa. Uśmiechał się wprawdzie na te moje uniesienia Stanisław, ale goście jego, nie wtajemniczeni w misterya mego usposobienia, przyjmowali moje żarliwe wynurzenia z wiarą i uwagą. Polowano jeszcze do wieczora. W ostatnim miocie, gdy już do wszelkiej zwierzyny strzelać było wolno, wyszło na mnie całe stado sarn, a że szły wolno i zdala je już widziałem, więc miałem dosyć czasu ochłonąć z pierwszej gorączki, i gdy się zbliżyły wybrałem na cel najpotężniejszą sztukę w przypuszczeniu, że ona musi być rogaczem, jakoż nie omyliłem się, jeden mój strzał położył go trupem na miejscu. Drugi raz nie odważyłem się strzelić w obawie, abym kozy nie ubił. Po skończonem polowaniu nastrój myśliwych był radośny, bo istotnie rezultat jego był nader bogatym, ja zaś byłem zachwycony rozkoszą, jakiej doznałem.

Odtąd stałem się myśliwym. Łowy powtarzały się nieustannie bądź w domu, bądź u gościnnych sąsiadów, a nawet w dalsze wyruszano strony. Przeistoczyłem się w innego człowieka, dawny pozostał w biurze urzędowym i na bruku miejskim, nowy żył śród natury, ruchu i życia myśliwskiego.

Kończę już zbyt rozwlekłą może gawędę. Cztery lata mieszkam na wsi, czuję się krzepkim i zdrowym, jakim chyba byłem za młodu, pomagam siostrzeńcowi w pracy gospodarskiej, poluję zawzięcie, zapomniawszy o kroku miarowym biurokraty, ruszam się jak młodzik, jeżdżę konno, nie pomny lat 67, którem przeżył spokojnie, puszczam się na fale wcale burzliwego życia, siwe wąsy i broda zdobią moje oblicze, — i z tem wszystkiem czuję się szczęśliwym i swobodnym, jakim nigdy nie byłem. Kiedym po dosyć długiej niebytności w stolicy przybył do niej i odwidzał kolegów z biura i znajomych, to niejeden w czerstwym i krzepkim staruchu nie mógł na razie poznać dawnego biurowego sensata, a kiedym im począł prawić o moich zajęciach, a szczególnie o łowieckich wyprawach, to patrzali na mnie, jak na „żelaznego wilka“ i wydziwić się nie mogli tej metamorfozie.

Taką to jest ostatnia karta dziejów mojego żywota. Opowiedziałem ustęp ten z mego życia potocznie, a jeden z słuchaczów, powziął zamiar podać go do publicznej wiadomości w „Łowcu“. Nie mam nic przeciw temu, może ten przykład pociągnie którego z podobnych mnie emerytów biurowych do szukania w rozkoszach wiejskich pokrzepienia zdrowia, swobody umysłu w ostatnich latach życia swego.

KORESPONDENCYE.

Podkamień, 12. Kwietnia 1885.

Twierdzą, iż przysłowia są filozofią narodów. Czyżby niewypadało temu zaprzeczyć w obec owego wyroku, który się stał popularnem przysłowiem u Niemców, owych wiecznych kulturtraegerów nietylko oświaty, ale i myśliwstwa na nasz Wschód zacofany? Otóż muszę stanowczo wystąpić przeciw logice owego historycznego przysłowia; tak znanego u naszych kulturtraegerów co do ciągu słonek: To przysłowie brzmi:

Reminiscere — putz die Gewehre.
Oculi — da kommen sie!
Laetare — das ist das wahre.
Iudica — sind sie auch noch da.
Palmarum — tralarum!

Pytam tedy na jakiej logicznej podstawie opierać się może takie myśliwskie przysłowie? Wszak wiemy o tem, iż Święta Wielkanocne są to święta ruchome, niestałe, i owa palmowa niedziela wypada w niektórych latach w Marcu, w innych w Kwietniu. Czyż wiecznie wędrujące długodzióby zaglądają do kalendarza przez uprzejmość dla tego germańskiego przysłowia? A więc na przypadającą w Marcu palmową niedzielę będą już: „tralarum“. — O! nie! — te kapryśne wędrowce mają swój kalendarz własny, i trzymają go się ściśle. Prądy wiatru, temperatura, wpływają względnie na ich ciągi. Długoletnie moje doświadczenie mnie poucza, iż najlepsze ciągi, przeciętnie bywają o tej samej porze, z rzadkimi wyjątkami, to jest

między końcem Marca a 10 Kwietnia. W tej to porze zapisałem do mojej kroniki myśliwskiej najmilsze wspomnienia z wiosennych polowań na słonki. Te odbywałem od lat wielu, co roku prawie, w lasach Olejowskich u hr. Kazimierza Wodzickiego. Tam padała nieraz znaczna ilość słonek na polowaniach wiosennych, a ich ciągi nie stały bynajmniej w związku z wyżej wspomnianem przysłowiem niemieckiem. W tym roku w mojej okolicy, zazwyczaj niezbyt obfitującej w słonki, zwłaszcza na wiosnę, ciąg był dopiero między 6 a 9 Kwietnia, trwał więc zaledwo parę dni, a w Marcu słonek jeszcze prawie nie było. Ubiwszy ich z dziesiątek w dwóch dniach, nie zastałem później już ani jednej, ani na ciągu ani na buszowaniu. Tę krótką wzmiankę o słonkach nawiazuję do kwestyi, którą bym chciał poruszyć w „Łowcu", w przekonaniu, iż znajdzie poparcie u moich kolegów myśliwych. Tą kwestyą, tak dla nas ważną, jest reforma w wielu względach jeszcze bardzo wadliwej naszej ustawy łowieckiej. Przez Ogólne Zgromadzenie wysadzoną od dawna została *ad hoc* komisya, ale niestety dotąd nie dała jeszcze znaku życia. A tu czas upływa, a wadliwości teraźniejszej ustawy bardzo szkodliwie oddziaływają na zwierzostan w kraju. Nie idzie tu o żadne kardynalne zmiany, ale o owe poprawki, które w ciągu kilkuletniego istnienia ustawy łowieckiej okazały się koniecznemi, czemu żaden praktyczny myśliwy nie zaprzeczy. Luźne pojawiające się od czasu do czasu wnioski nie okazały się dotąd praktycznymi, i potrzebną jest do tego systematyczna praca rzeczoznawców myśliwych, jakimi są właśnie wybrani przez Ogólne Zgromadzenie członkowie owej komisyi. Do tych luźnych, niepraktycznych głosów, w pierwszym rzędzie zaliczyć trzeba ów świętej pamięci wniosek, domagający się bezwzględnej ochrony słonek na wiosnę, a który na szczęście, Wydział Towarzystwa Łowieckiego po wiek wieków rzucił do kosza. Wniosek podobny mógł być postawionym u nas tylko przez niemyśliwych, lub też myśliwych zbyt starych i zgrzybiałych, którym już reumatyzmy i pedogry nie pozwalają używać rozkoszy wiosennego słonczego polowania, i tej rozkoszy zazdroszczą innym. Kto jak ja miał sposobność widziec na Wschodzie tę niezliczoną ilość ciągnącego ztamtąd do nas wiosennego ptactwa, ten musi przyjść do przekonania, iż to wszystko, co potem od strzelb u nas ginie, jest liczbą redukującą się do zera i wobec owych ciągnących miliardów w rachubę wcale nie wchodzi. Niepomyślne prądy wiatru, które to ptactwo na inne zaganiają szlaki, katastrofy podczas ich przelotu przez morze, oto są czynniki, które wpływają na ich słabsze lub liczniejsze pojawienie się na naszych zagonach. Wszakże na całym Archipelagu greckim i na wyspach Jońskich ludność od wieków ogromny handel prowadzi wiosennem ptactwem, przeważnie przepiórkami i słonkami, które strudzone podróżą, na tych wyspach zapadają. A czyż ta okoliczność jaki wpływ wywiera na ciąg tego ptactwa w naszym kraju? Nieunośmy się więc zbytnią grzecznością dla naszych bliższych i dalszych sąsiadów, którzy dla nas pewnie nic nie zrobią, myślmy mniej o wędrownem ptactwie, a zajmujmy się raczej u siebie stałym zwierzostanem. Odzywały się rożne głosy, którym słuszności nie można odmówić, ażeby w górskich okolicach dozwolić polowanie na słonki i po końcu Kwietnia, gdyż wówczas dopiero ciąg się tam rozpoczyna. Trudną byłaby do oznaczenia linija demarkacyjna miejscowości, w którychby w tych warunkach wolno było na ciągu na słonki polować.

Zdaje mi się więc, iż komisya niepopełniłaby błędu, gdyby nawet przez Maj, na cały kraj to pozwolenie rozciągnęła, bo i tak od połowy Kwietnia ciąg słonek na dolinach ustaje, żadnejby się więc szkody przez to nie wyrządziło. Niepłonną mamy nadzieję, iż najsurowszy wyrok wyda naprzód komisya na lisa, owego największego i najzaciętszego wroga zwierzyny, i ani jednego dnia ochrony dla niego w ciągu roku niewynajdzie. A może też i pofolgować nam nieco raczy z ochroną niektórych lotnych drapieżników, których nam ustawa jako dobroczyńców poleciła, a którzy w praktyce tak się okazują niegodni położonego w nich zaufania. Ale natomiat najpokorniejszą śmiemy zanieść prośbę za biednym szarakiem, owym nieturystą, ale stałym mieszkańcem naszych pól i lasów, dla którego dotychczas ustawa łowiecka nie była matką lecz macochą Pozwolono go strzelać już od 15. Września! Pewnie żaden wytrawny i sumienny myśliwy do pomkniętego po owym terminie zająca, nieodważyłby się strzelić, bo wie, iż wtedy przeważnie zastrzeli kotną zajęczycę lub matkę piastującą rodzinę, której sieroty wyginą, lub staną się pastwą lisow, kun, tchórzów, kruków i jastrzębi. Ale legiony całe niedzielnych strzelców snują się właśnie podówczas z wyżłami po polach za kuropatwami i przepiórkami, i drobnym śrótem czasem zabijają, ale daleko częściej jeszcze kaleczą tylko owe matki zajęczego rodu, i potomstwo ich całe zostawiają pod opieką drapieżnego zwierza. Zważywszy to wszystko sądzę, iżby się komisya bardzo myśliwstwu krajowemu przysłużyła, gdyby raczyła ochronę zajęcy przydłużyć do 1. lub 15. Października. Nieraz też sobie zadawałem pytanie, dla czego ustanowiono ochronę dla rogaczy od 1. Marca do 1. Czerwca? Wobec nierozstrzygniętej dotąd jeszcze kwestyi spornej co do rui sarn, w czem ani myśliwi ani naturaliści stanowczo zgodzić się nie mogą, czy się odbywa w Lipcu i Sierpniu, czy w Listopadzie i Grudniu, jakąż podstawę może mieć ochrona dla rogacza od 1. Marca do ostatniego Maja? Żaden przecież badacz przyrody w owej porze nieprzypuszcza u rogacza matrymonialnych chęci. W ogóle ochronę takową uważałbym w każdym względzie za zbyteczną, bo do zachowania pięknego stanu sarn koniecznem jest odstrzeliwanie starych rogaczy jako szkodników rewiru, bez czego mnóstwo sarn pozostaje jałowych, a ci starzy, zgrzybiali libertyni są zazwyczaj także zawziętymi mordercami młodych koźląt. Takie odstrzeliwanie starych rogaczy daleko łatwiej się da uskutecznić w Maju i Kwietniu, gdy ich silnie omszona korona ułatwia bardziej rozpoznawauie, niż w zimowych miesiącach. Często bowiem wtedy trudny do rozpoznania, młody rogacz ginie zamiast starego, a to większą wyrządza szkodę rewirowi, niż strzelanie starych rogaczy o każdej porze roku.

Zabijanie koźląt i młodych rogaczy, jedynie zdolnych do zapładniania, bardzo surowo powinnaby zabronić ustawa. Ale otóż i o jednego wędrowca jeszcze upomnieć się muszę, bo tego srogo pokrzywdzono. Oto pozwolono strzelać kaczki w Czerwcu. Któż nie wie, że prawdziwe polowanie na podloty nastaje dopiero w Lipcu, a na sto kaczych lęgów, może jeden zaledwo w Czerwcu już jest lotnym, i ta młodzież bez matki wychować się potrafi Czyż polowanie w Czerwcu nie nadarzy co chwila myśliwemu sposobności zabicia kaczki, która się z jaj porywa, lub takiej, która osieroci pisklęta, niezdolne do wychowania się bez jej opieki?

Tych kilka uwag nasunęło mi się pod pióro, a wieleż ich jeszcze pozostaje! Szanowni członkowie komisyi wynajdą ich niezawodnie bardzo jeszcze wiele, i nasza wdzięczność za to należyć im się będzie. Zwykle na wiosnę ucho myśliwca natężone jest na głos ciągnącej słonki. Gdy już niestety tego roku ten głos dla nas przebrzmiał, ucho nasze jest teraz wy-

tężone na głos inny, bardziej może jeszcze dla nas pożądany, oto na głos Szanownych członków komisyi, wysadzonej przez Ogólne Zgromadzenie Towarzystwa Łowieckiego. Wytężamy słuch, by ten głos usłyszyć. Obyśmy tej wiosny jeszcze mogli z radością jak Niemcy wykrzyknąć: Oculi — da kommen sie!

Leopold hr. Starzeński.

KRONIKA.

Myśliwym naszym, którzy oprócz celnego strzelania do zwierzyny, pragną również nabycia teoretycznej wiedzy w zawodzie łowieckim, znane jest imię Raula Dąbrowskiego, którego dzieła do najcelniejszych w niemieckiej literaturze łowieckiej należą. Z niemałą zapewne przyjemnością dowiedzą się oni z przywiedzionego niżej ustępu listu do pana R., iż pan Dąbrowski w poczuciu swego polskiego pochodzenia pragnie obszerną wiedzą swoją zasilić polskich myśliwych. Wyrażając Mu szczerą wdzięczność naszą, pozwalamy sobie zacytować jego własne słowa: „Przedewszystkiem chciej Pan przyjąć zapewnienie, iż z radością ofiaruję moją gotowość napisania wyczerpującej rozprawy o hodowaniu sarn w wolnych rewirach i poświęcenia jej myśliwym galicyjskim. Chcę moje skromne wiadomości i doświadczenia w zupełności im oddać do dyspozycyi, i byłbym niegodnym, jako potomek starodawnego wodza z czasów Napoleona I., mego cennego, starego imienia i herbu, gdybym z dumą i radością tego nie uczynił. Upraszam uprzejmie o przełożenie na język ojczysty mojej literackiej pracy. Jakkolwiek stosunki od czasu mego urodzenia dały mi niemieckie wychowanie, to jednak powinna wdzięczność dla przybranej, nie zatarła w pamięci właściwej ojczyzny, a moje serce do ostatniej chwili życia pozostanie polskiem. Upraszam o adres waszego Towarzystwa łowieckiego, postanowiłem bowiem przesłać mu wszystkie moje dzieła jako skromny dar ziomka. Zarazem proszę moim współrodakom oświadczyć, iż zaszczytem to dla mnie będzie i radością, gdy w razie potrzeby będę im mógł jakąkolwiek oddać usługę". — Uprzedzając łaskawość i życzliwość dla nas pana Dąbrowskiego, przesłaliśmy Mu wszystkie roczniki „Łowca" i nakłady Towarzystwa wraz z szczerem podziękowaniem za objawioną dobrą wolę popierania naszych celów. W odpowiedzi otrzymaliśmy ponowne zapewnienie szczerej chęci i prawdziwego uczucia. Wysoko je cenimy i z wielką wdzięcznością przyjmujemy dla dobra krajowego łowiectwa, dla którego nabytek tak potężnej siły wielce jest cennym.

Niższo-austryackie Towarzystwo łowieckie w Wiedniu uwiadamia pismem swem z d. 8. Kwietnia, że Kongres myśliwski odbędzie się w dniach 19. do 23. Maja w Wiedniu; przysyła referat Dra Bertholda odnoszący się do reformy ustawodawstwa łowieckiego; wzywa w końcu do licznego udziału w tymże kongresie. Gal. Towarzystwo łowieckie wyśle na te ważne i dla nas obrady swego delegata i umieści w „Łowcu" obszerne sprawozdanie z toku obrad tego kongresu jakoteż sprawozdanie naszego delegata. Zwracamy uwagę sz. członków na tę ważną sprawę i prosimy o nadsyłanie swych uwag, które będą dla delegata dyrektywą.

Podwołoczyska 6. Kwietnia.

W dziale pod tytułem: „Neuestes illustrirtes Jagdbuch" A. Biermanna i Dr. Oderfelda Stuttgard 1869 na str. 88 wyczytałem, że zając nigdy wody nie pije. To dało mi powód do badania i sprawdzenia tego mniemania. Rezultat podaję upraszając panów myśliwych o ogłaszanie swoich doświadczeń w „Łowcu". — Że zając w lecie wody nie potrzebuje, jest łatwem do wytłumaczenia, bo wtedy żyje on zbożem zielonem i t. p. i spożywa wszystko z obfitą rosą. W zimie, gdy zmuszony jest żywić się suchą paszą, trudno przypuścić, by nie pił wody, a tem samem by twierdzenie w powyższem dziele miało być słusznem. W późnej jesieni, stojąc na ciągu słonek, spostrzegłem zająca, który przyszedł do kałuży na szerokiej leśnej drodze, zatrzymał się przy niej kilka minut wysłuchując, wreszcie nachylił się do wody. Czy ją pił, sprawdzić nie mogłem. W zimie na ponowie lub dawnym śniegu dostrzegałem, że zając przychodzi koło północy do wody, mianowicie do niezamarzniętej na rzekach i źródłach. Jakkolwiek te ostatnie zwykle się zielenią, nie spostrzegłem jednak nigdy, by zając zjadał tam nieco z wody wystającą trawkę, przypuszczam więc, że odwidza je w celu pojenia się. — Przy tej sposobności donoszę, że w naszej okolicy do 4. Kwietnia słonek prawie nie było, zresztą kosy pojawiły się przed tygodniem, bociany w wielkiej liczbie, na jednej łące i sąsiedniej oziminie naliczyłem ich 57. — W jednym numerze „Łowca" z r. 1884. wyczytałem, „że myszołów robi także szkodę". Na dowód tego przytaczam, że jadąc drogą w Czerwcu r. 1884. spotrzegłem myszołowa nad kawałkiem chłopskiego jęczmienia, który ciągle bił w jedno miejsce, odlatując na bok. Po chwili ujrzałem zająca pomykającego. Raptem myszołów wraca, wpada w jęczmień i unosi małego zajączka. Zając gonił za nim ze 200 kroków i powrócił w jęczmień. Obok jęczmienia był ugor, na którym pasło się gromadzkie bydło, upomniałem pastuszków, by do jęczmienia nie chodzili, bo tam są zajączki, dałem im na bułki, aby odpędzali jastrzębia. W kilka godzin powracam tą drogą, pastuch przynosi mi małego zajączka i mówi, że gdy po południu przypędzili bydło, przyleciał jastrząb, pastuch pędził za nim z batem, ale już jastrząb zabił zajączka i puścił na paraninę. Tym razem prześladowali go pastuchy i dwa zające. Pojechałem do domu po żelazko (deptaczek), które nastawiłem na ugorze, na kilka kroków od jęczmienia, z martwym zajączkiem na ponętę. Wieczorem przyniósł je chłopiec wraz z jastrzębiem, czystej krwi myszołowem, który się w niem ułowił.

W. K.

Z Sanockiego Beskidu.

Znachorowie tutejsi, a mamy ich kilku, po znakach im tylko wiadomych przepowiadali zimę niemroźną i mało śnieżną. Ale 4. Listopada począł śnieg sypać jak z miecha, a sypał przez całe trzy tygodnie, sypały się też gęsto naśmieszki z owych znachorów, co to niby tak srodze pokpili sprawę. Podczas tej zawieruchy trwał zastój w handlu, w czynnościach około domu, a nawet w łowach, bo jak tu wyruszyć na nie, kiedy zuchwałemu myśliwemu zagrażały na każdem kroku niezmierne trudy, a nawet śmierć możebna w topieliskach śniegowych w parowach i jarach naszych gór. Cierpiały też niemało zwierzęta leśne, jedynie wilki, których tu mnóstwo, rozkoszowały w tej ciężkiej dobie, ileż to sarn dostało się w paszczę tych rabusiów, jelenie schroniły się na najwyższe szczyty, gdzie wilki się nie zapędzają. Przed ową śnieżnicą było sarn według wykazu leśniczych i myśliwych sztuk kilkanaście, po znacznem ustąpieniu śniegów na polowaniu nie widziano ani jednej. Sprawka to wilków, na które w naszej alpejskiej okolicy, pełnej przepaścistych parowów z obławą na nie polować niepodobna. Próbowaliśmy truć je za pomocą przynęty zaprawionej strychniną, ale żaden wilk się do niej nie zbliżył. Zatruwałem też strychniną żywe psy czarne, najponętniejsze według zdania myśliwych dla wilków, koty, stare szkapy niepożyteczne, ale mimo głodu nie tknęły ich wilki. Trucizna dana w strawie żywemu zwierzęciu przenika całe jego ciało, gdy przeciwnie wsypana w nacięcia skórne martwego zwierzęcia, mimo dłuższego trzymania ścierwa w mierzwie końskiej, nie zawsze rozszerza się na wszystkie jego części, więc też często wilk lub lis spożywszy kęs ścierwa nie zatruwa się nim. W ciągu długich lat zrobiłem spostrzeżenie, że wilki w zimie zwłaszcza koło Lutego, gdy w bandach łotrują, spotkawszy taką przynętę, stają i wietrzą ze wszystkich stron i widocznie naradzają się. Nigdy cała banda nie wpada na gotowy żer, ledwie jeden wilk z niej, najwięcej dwa truje się. Może po naradzie wysyłają delegata na zwiady, lub też wychodzi który z zuchwalszych na ochotnika. Żer zatruty strychniną zabija natychmiast i odstrasza całą bandę, wtedy już przez długi czas żaden wilk nie zbliży się do przynęty. Lepszą niezawodnie trucizną jest arszenik, nie działający tak gwałtownie. Nie ma on wstrętnego smaku i ostrej woni strychniny, zabija dopiero po pewnym czasie, więc nie odstrasza wilków. Arszenikiem można całą bandę wygubić, strychniną ledwie jednego lub dwa, a jeżeli padnie ich więcej, to chyba niedoświadczone, chciwe żeru młodziki. Raz strułem arszenikiem czerwonym w podrzuconej szkapie 9 wilków, całe stado na przestrzeni półmilowej, również często pojedyncze, które znajdowałem niezbyt daleko od padliny martwe lub w agonii. — Jelenie podczas listopadowej zawieruchy przeszły na południową węgierską stronę Rafki lub inne podobne miejsca, gdzie mimo obfitego śniegu było zaciszniej. — Znachorzy nasi tryumfują, śnieg z wyjątkiem Wysokiego Beskidu stajał niemal zupełnie.

Według ich twierdzenia zima tegoroczna będzie niezbyt sroga i śnieżna, bo „synoczok (sikorek) ne bohato koło byż (chałup), choriszki (sojki orzechówki) powernuły na Beskid“, bo „wreszcio ja tak każu i tak bude“ — mówi stary Hrehory, a on „wsio znaje“.

J. R. O.

Ukraina Wasylówka.

Rok 1884. ledwie nie dla każdego pamiętnym będzie. Dla gospodarzy gwałtowna stagnacya w produktach nie małą różnicę w dochodach uczyniła, tak że wielu humor tracić zaczęli. Kto lubił polowanie, musiał szukać rozrywki w tej niekosztownej zabawie a tak przyjemnej dystrakcyi. Ale i tu zawodu doznawał. Dżdżysta jesień ledwie nie cała uniemożliwiła i te błahe zachcianki. Pierwszych dni Listopada wypadł nam śnieg, którym nie długośmy się cieszyli, ponowy prawie nie było, i zginął wkrótce, zostawiając po sobie nieprzebyte błota, a gdy raptem ścisnęły mrozy, to gruda i ostre suche pole też do polowania nieprzyjazne. Jednakże kto lubił charcie polowanie, to prawie od 1. Grudnia ledwie nie do 1. Lutego miał najznakomitsze, jakie się często powtarzać nie może, bo skutkiem ciągłych mrozów ziemia tak była spierzchniętą, że po ziębląch konia wybornie puszczać można było, a dla chartów dobrych pole do popisu właściwe. Zająca ledwie nie każdego w kotlinie upatrzeć nie można było, bo i tentent koni zdawał się cichym jak w jesieni, mrozy trzymały nie tęgie a powietrze było dość łagodne. Otóż i ja stary myśliwy, który w życiu do syta tej przyjemności używał, korzystałem z warunków, które sprzyjały dla charciego polowania; to mi się opłacało, przyjemności miałem dużo, tak, że ledwie nie co dzień wyjazdki takie robiłem, co w kronikach myśliwskich zapisać winienem. Grudzień i Styczeń dla dobrych charciarzy były miesiące nie do polowania, w dawnych gawędach to się wzmiankowało, że i kuchty w tych miesiącach kundysami zające łapać mogą, a to było *vice versa* bo kto miał nieosobliwe charty, to żaden kuchta złapanego zająca niemógł obracać na rożnie. Zwracając uwagę myśliwych charciarzy, muszę spraktykowawszy rzucić słów kilka o chartach, które w pierwszem polu niechętnie i niejednostajnie ścigają zająca. Otóż jak się przekonałem, nigdy nie należy brać charta pierwszy raz w pole z innymi samego jednego trza uszczuwać na zającach młodych, wtedy nie spuszczając się na pomocników wszelkich sił dokłada, by zając nie uszedł. Taki pies z trudnością da się prześcignąć, i z małemi kwalifikacyami może być doskonałym. Psy co w hurcie się uszczuwają, często abnegują, spuszczając się jeden na drugiego, nie robiąc wysileń, a tem muszkułów nie wyrabiają, i chart kwalifikowany na dobrego, często myśliwego zawodzi. Dużo zależy, by starać się mieć psy z dobrego miotu, i szczenięta by były rozkosznie karmione, a więcej jeszcze trzymać się radzę tej metody którą podaję. Taki chart nie miewa fantazyi i ściga jednakowo. I myśliwy, co tłumaczył swe charty, że nie były w sztosie, bo się dały prześcignąć, przyzna, że pies tylko chory może być bez sztosu, a uszczwany w pojedynkę, tem bardziej fantazyi mieć nie może i nigdy nie folguje, bo rozumie, że mu nikt zająca w zęby nie napędzi, jak to często bywa w ściganiu kilku psów przy obrotach. Takie uszczwanie psa każe mu być zawsze na omyku u zająca; żadnych charcich figlów nie zna, ni to przełają ni ściga, ni też przesiadów żadnych nie robi, niczem nie wstrzymuje biegu, co jest wygraną przy emulacyach w walce dwóch zamiłowanych charciarzy, znajomość rzeczy, i użycie właściwe, laurem rezultat uwieńcza. A kto tej zasady doświadczy, to się przekona o prawdzie słów moich. Jeśli zając gracz wykpi się kiedy od chartów, to trza być pobłażliwym, bo i przysłowie mówi: że „jest pies nad psa, zając nad zająca“.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Kamienna Kwiecień.

Przeczytawszy w „Łowcu“ korespondencyę p. Ant. Walewskiego, opisującą zdarzenie z wilkiem, nie mogę się powstrzymać od skreślenia kilku słów. Idzie mi głównie o sprawę broni i dobrego strzału. Nie chcę wyrokować, ażali lankastrówka, teschnerówka lub strzelba innego systemu powinna być zalecaną, bo według mego przekonania każda broń ma swoje dobre i złe strony, a osobiste upodobanie lub przyzwyczajenie tworzy amatorów dla każdej. Ośmielę się tylko zapytać p. W., z jakiego powodu zachwala on i poleca strzelbę, która z tak małej odległości 25 kroków ogromnego wilka tylko jednym (grubym kaczym) śrótem trafiła, a i to jeszcze wątpliwe, gdyż mógł to być śrót kapslówki kucharza. Czyż to ma być zaletą strzelby, że jedyny śrót utkwił w samem sercu. Jeżeli mnie p. W. zapewni, że to jest stałą cnotą Teschnerówki, naturalnie na dalszą jak 25 kroków odległość, to i ja gorący zwolennik Lankastrówki chętnie przychylę się do jego zdania. Przepraszam p. W. za tę interpelacyę, ale ja stary myśliwy strzelałem ze strzelb różnych systemów, ale ów przytoczony strzał zda mi się tak lichym, iż z strzelby takiej kazałbym kłódki porobić. Widziałem bardzo skromną lankastrówkę, która z oddalenia 130 kroków kozła 5 śrótami nawskróś przeszyła, a nikt tego za rzecz nadzwyczajną nie uzna. Na 25 kroków w tak ogromnym celu powinienby niemal cały nabój tkwić w nim, i istotnie dziwne i wcale nie zachęcające, że tylko jeden śrót w serce się zabłąkał. Jawny to dowód, że można tak dalece zakochać się nawet w ujemnej stronie ulubionej strzelby, iż nawet jej wada staje się cnotą. Zresztą proszę o bliższe wyjaśnienie rzeczy.

G. Głuchowski.

Podwołoczyska 16. Kwietnia.

Dnia 13. b. m. przeniósł się do wieczności dzierżawca Borek, Stanisław Kopczyński. Zmarły był wzorowym gospodarzem, wybornym myśliwym i członkiem Towarzystwa łowieckiego, zacnym i wielce w całej okolicy cenionym człowiekiem, gorąco przywiązanym do ziemi rodzinnej. Aby ocenić szlachetność jego charakteru, dostateczną będzie wzmianka, że sam niezamożny, utrzymywał swoim kosztem młodego wychodźcę z Królestwa Polskiego, którego naprzód wysyłał do szkół w Tarnopolu, a następnie do akademii górniczej w Leoben. Z szczerym żalem odprowadziła liczna publiczność zwłoki jego do grobu. Niech mu ta ziemia lekką będzie, którą tak serdecznie miłował.

Władysław Kotkowski.

Przed niewielu laty nakazał hr. Józef Baworowski urządzenie łowów na dziki, i zaprosił na nie Exc. hr. F., hr. G., generała K., panów C. i K. Żywo zająłem się tropieniem dzików, jakoż w 5000 morgowym rewirze Jabłonowa okrążyłem lochę z 7 warchlakami, na przestrzeni 22 morgów oblęgającą i doniosłem o tem panu hrabiemu. Szybko wyruszyli panowie wraz z pogonką ku owemu miotowi. W pochodzie żaden głos się nie odezwał, aby nie popsuć polowania. Wreszcie zajęli myśliwi stanowiska, dałem nagonce należyte wskazówki i polowanie się rozpoczęło. Po ślepych trzech strzałach postępowała naprzód pogonka. Nagle pomknęły, nie oczekiwane dziki, lecz stado wilków, złożone z 5 sztuk, ku myśliwym. Naprzód powalił ogromnego wilka Exc. hr. F., pan K. ubił dubletem dwie sztuki, a hr. G. zabił jednego wilka. Tak więc w krótkim czasie dostały się cztery wilki na rozkład. Piąty lubo mocno postrzelony, umknął. Nie prześladowano go i zajęto miot, w którym spodziewałem się dzików, jakoż poruszono je w istocie, zabito dwa warchlaki dubletem, a locha z resztą przebiła się skrzydłem. Strzelano też żwawo do innej zwierzyny. Ostatecznie wykazał rozkład: 2 rogacze, 13 zajęcy, 7 bażantów, 2 lisy, 2 warchlaki i 4 wilki. Zaprawdę niezwykły rezultat.

F. Sauschek (Weidmannsheil).

Falatycza 18. Marca.

Na Podlasiu w dobrach Falatycze przy hodowli bażantów hodowało się parę kuropatw, wylęgłych z jaj razem z bażantami. Jedna z nich przepadła, druga zaś razem z bażantami się trzymała, i kiedy te ostatnie przestały nocować w bażantarni, a siadywać na noc na drzewach w ogrodzie, kuropatwa przez długi czas chodziła koło drzew, świergotała, po pewnym przeciągu czasu wraz z bażantami fruwała na drzewa i dziś każdej nocy obok bażantów siaduje na drzewie. Jest to kuropatwa kura i stale przebywa w towarzystwie bażantów, mimo że często się spotyka z dzikiemi bażantami. Ciekawa rzecz, jak się zachowa przy nadchodzącej wiośnie, o czem, jeśli będzie godnem uwagi, nie omieszkam zawiadomić, a dziś fakt tylko rzadki siadania kuropatwy na drzewie notuję.

W. Kowalski.

Ankieta rybacka. W dniu 11. Kwietnia odbyła się w Krakowie w domu hr. Artura Potockiego narada nad uregulowaniem prawa i wykonywania rybołowstwa rzecznego. Z 70 osobistości z całego kraju zaproszonych, wzięło udział w tej naradzie 28, a mianowicie: prezydent miasta Krakowa Dr. Szlachtowski, członek Wydziału kraj. Dr. Wereszczyński, prezes Akademii Dr. Majer, członkowie spółki rybackiej pp. Homolacs i Gostkowski; członkowie Tow. rybackiego Dr. Nowicki, X. kanonik Dr. Grzegorzek, hr. Marassé, Stanisław Kluczycki, Kornecki, Sasorski, z dyrekcyi lasów i domen nadleśniczy Góralczyk przedstawiciele obszarów dworskich: hr. Artur Potocki, hr. St. Zamoyski, hr. Scipio, hr. L. Dębicki, hr. Roman Wodzicki, Ed. Jastrzębski, Struszkiewicz, Czecz, Gniewosz, Mikiewicz, Siegler d'Eberswald — prof. prawa na uniw. Jagiell.: Dr. Bobrzyński, D. Zatorski, Dr. Zoll, radca sądu wyższego p. Louis Wawel. Radca dworu we Lwowie Dr. K. Orlecki nie mogąc przybyć osobiście, nadesłał obszerny projekt ustawy.

Hr. Artur Potocki powitał zgromadzonych i zaprosił do wyboru przewodniczącego, proponując członka Wydz. kraj. Dra Wereszczyńskiego, który atoli od przewodniczenia uchylając się, zaproponował hr.

Artura Potockiego, na co jednomyślnie się zgodzono. Przewodniczący odczytał najpierw program narady, następnie państwową ustawę rybacką z roku 1885., oraz ustęp z rozprawy Dra Nowickiego „Prawo rybołowstwa“. Wszczęła się dyskusya co do określenia zasad prawa rybołowstwa. Po wyczerpującym i wszechstronnym rozbiorze, uchwalono pierwszą zasadę na wniosek hr. Potockiego: „Nie wchodząc tymczasem w rozstrzygnienie, czy i kto jest uprawniony i czy uprawnionych zindemnizować, czy też przez czas jakiś wykonywać domniemane ich prawa na ich rachunek, stawia się zasadę: Wykonywanie prawa rybołowstwa przejmuje kraj w swoje ręce“. Z poprzedniej dyskusyi wywiązało się jako nieodłączne od powyższej zasady pytanie: „Komu nadać prawo rybołowstwa?“ W tym kierunku postawiono ostatecznie 3 wnioski: *A)* P. St. Kluczycki zdając sprawę z projektu p. Orleckiego, wniósł: „Prawo rybołowstwa tak na rzekach spławnych, jak też innych niezamkniętych i niesztucznych, na których rybołowstwo jest dotąd wolne, przyznać z zastrzeżeniem istniejących praw nabytych, krajowi“. *B)* P. Louis-Wawel wniósł: „Na wodach naturalnych, o ile prawo rybołowstwa na mocy szczegółowego tytułu nie służy osobom prawnym lub fizycznym, prawo to przyznane być winno gminie wiejskiej i dworskiej, w stosunku do posiadanych brzegów“. *C)* P. Zoll wniósł: „Prawo rybołowstwa, o ile nie istnieją nabyte już prawa, przyznać: na wodach spławnych krajowi, zaś na innych wodach płynących gminom i obszarom dworskim nadbrzeżnym“. W głosowaniu wzięło udział 22 obecnych. Wniosek *A.* (Orlecki-Kluczycki) otrzymał 12 głosów: wniosek *B.* (Louis) 9 głosów; wniosek *C.* (Zoll) 3 głosy. Dr. Bobrzyński uczynił do punktu 1. uzupełniający wniosek: „Koszta wykonywania prawa rybołowstwa pokrywa Wydział krajowy z ogólnych dochodów tegoż rybołowstwa“, który jednomyślnie przyjęto. Następnie już bez dalszych rozpraw uchwalono szereg wniosków hr. Artura Potockiego: *a)* Uznać konieczność utworzenia Inspektoratu rybackiego przy Wydziale krajowym; *b)* uznać konieczność rewirów rybackich według zasady: „Rewir rybacki zawiera przestrzeń, dającą możność wylęgu, odchowu i połowu ryb, z uwzględnieniem głównego gatunku ryb, i ile możności w granicach powiatów politycznych“. Rozdziału wód na rewiry rybackie dokona Wydział krajowy przez specyalny swój organ wykonawczy, tj. Inspektorat rybacki; *c)* zaprowadzić karty (certyfikaty) rybackie płatne; *d)* tępić zwierzęta dla rybactwa szkodliwe, z zastrzeżeniem istniejącego prawa polowania; *e)* uporządkować stosunki rybackie na wodach międzyprowincyonalnych i międzypaństwowych; *f)* wydać do uzupełnienia ustawy rybackiej z r. 1882. tablicę z malowanemi rybami krajowemi, z tekstem objaśniającym; *g)* uznać konieczność zmiany przepisów ustawy wodnej państwowej i krajowej dla rybołowstwa szkodliwych, a wprowadzenie przepisów dla tegoż gospodarstwa pomocniczych. Wszystkie powyższe wnioski zostały jednomyślnie przyjęte. W końcu zastanawiano się nad wyborem osób, któreby wskazać wypadało z grona obecnych Wydziałowi krajowemu do zaproszenia do ankiety, niebawem we Lwowie odbyć się mającej. Wybrano pp. Bobrzyńskiego, Louis-Wawel, Nowickiego, hr. Potockiego, Gostkowskiego i Dra Zatorskiego. — Hr. Artur Potocki oznajmił, że Marszałek kraj. zaprasza nadto na lwowską ankietę wszystkich z obecnych, którzyby udział w niej wziąć chcieli, a wybrani oświadczyli, że wybór przyjmują. W toku posiedzenia nadeszła wiadomość: że rząd nie wyda żadnych przepisów wykonawczych do państwowej ustawy rybackiej z roku 1885, lecz że wezwie Sejmy, ażeby przepisy te w formie ustaw krajowych we własnym zakresie przeprowadziły.

Jak już donosiliśmy, w sferach właściwych powzięto projekt, ażeby w celu ochrony wytępianej coraz więcej zwierzyny, okres czasu dozwalany obecnie na polowania skrócić, a mianowicie ażeby trwał nie dłużej, niż od połowy Września do końca miesiąca Stycznia. Troskliwość o ochronę zwierzyny jest słuszna, lecz wyznaczanie stałych terminów nie prowadzi do praktycznego celu. Są lata, w których polowanie można zamknąć dopiero w lutym, ale gdy z powodu łagodnej temperatury w Styczniu, zające są kotne, polowanie już w Styczniu winno być zamknięte. W Niemczech zamykanie polowania jest pozostawione uznaniu miejscowych landratów; w roku bieżącym w Wielkiem Księstwie Poznańskiem już od 12. Stycznia niewolno strzelać zajęcy.

Koresp. Płocki.

Z Wschodniej Galicyi. Znane są wspaniałe puszcze leśne, jakie jeszcze część wschodniej Galicyi pokrywają. Mamy w niej wielką ilość zwierzyny bez owych trudności, jakie wysoka kultura sprowadza. Wilki, niedźwiedzie, rysie mieszkają tu w najniedostępniejszych miejscowościach jeszcze zupełnie swobodnie, bo nie często zabłąka się stopa zuchwałego myśliwego w te ustronne przepaście leśne. Pożytecznej zwierzyny zato nie wiele mamy, z wyjątkiem jarząbków i głuszców, szczególnie ostatnie są tu w znacznej liczbie. Przeszłego roku ubiłem w jednym poranku pięć sztuk, a mój gajowy trzy. Teraz mamy kilka tokowisk, na których każdego rana 40 do 50 kogutów zapada, i radośnie swe pieśni miłośne wyspiewują. Ale polowanie jest bardzo trudne, bo wielkie masy śniegu czynią owe alpejskie okolice niedostępnemi.

(Weidmannsheil 1. Kwietnia 1885). *A. K.*

Sprostowanie.

W poprzednim numerze w korespondencyi p. Jana Ostrzechowskiego należy zamiast: „strażnicy leśni“ umieścić: „ludzie stojący na straży ustaw“.

Ogłoszenia.

Korespondencya p. W. Ch. z Jasielskiego tak jest niejasno stylizowana, iż mimo najlepszej chęci umieścić jej nie możemy, obawiamy się bowiem, iżby z niej nie wynikły nieporozumienia.

Przypominamy Sz. Członkom, którzy dotąd wkładki rocznej nie uiścili, iż według Statutu powinni oni to uczynić w przeciągu pierwszych trzech miesięcy roku pod wskazanym w tymże Statucie rygorem.

Panu W. K. w Podwołoczyskach. Za przysłane łaskawie artykuły szczerze dziękujemy, o przyrzeczone sprawozdania bardzo prosimy. Numer mylnie przysłany wymieniamy. Na zapytanie w liście uczynione, natychmiast odpowiedzieliśmy kartą korespondencyjną, może adres był niedostateczny.

Składając szczerą podziękę wszystkim łaskawym współpracownikom i korespondentom, upraszamy ich, jakoteż innych myśliwych, o dalszą pomoc dla „Łowca“, bez której Pismo to pomyślnie rozwijać się i skutecznie działać nie może. Obok szerszych rozmiarów prac pożądane są dla nas drobne zapiski, sprawozdania z polowań, i t. p., które nie wymagając wiele trudu zapełnią z nie małą korzyścią dla czytelników szpalty Pisma naszego.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, a szczególnie Towarzystwo rybackie w Krakowie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla Kalendarza myśliwskiego i rybackiego na rok następny.

INSERATY.

Ktoby wiedział o obecnym pobycie leśniczego Klimka, raczy łaskawie donieść Sekretarzowi galic. Tow. łowieckiego.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.